NR 32 (1956) 11 SIERPNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

WAŻNA (i długa)
rozmowa z Kelusami

ISSN 0208-8045
3 2 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- MEBLE NA EKSPORT, PRACOWNICY NA BRUK
- JAK O. KOLBE POKONAŁ LOGIKĘ AUSCHWITZ

REPUBLIKA

Najważniejsi w Polsce goście. Kluczowe tematy. Odważne pytania. Mocne opinie. Istotne analizy. Rozmowy, które wyznaczają kierunek. **Tomasz Sakiewicz** zaprasza na program dla widzów, którzy chcą znać prawdę.

PONIEDZIAŁEK
18:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę można oglądać w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

epirasa.pl 8bb7115c0b

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Jaka byłaby dziś Polska, gdyby rok temu to Rafał Trzaskowski, a nie Karol Nawrocki, został zaprzysiężony na urząd Prezydenta RP? Zwykło się mówić, że strach pomyśleć. Ale my jednak spróbujmy...

Na pewno nie istniałoby już Centralne Biuro Antykorupcyjne, które ewidentnie działa na koalicję Donalda Tuska jak zapach czosnku na hrabiego Drakulę. A patrząc choćby na Szpital Południowy i schematy wysysania pieniędzy z systemu opieki zdrowotnej przez krewnych i znajomych królika, to trudno się nawet szczególnie dziwić, że ich tak bardzo tego typu instytucje uwierają.

Jaka byłaby dziś Polska, gdyby rok temu to Rafał Trzaskowski, a nie Karol Nawrocki, został zaprzysiężony na urząd Prezydenta RP?

Bez prezydenta Nawrockiego mielibyśmy też (przynajmniej) ustawę o statusie osoby najbliższej, czyli pierwszy krok w kierunku rozmontowania instytucji małżeństwa. A pewnie nawet rozwiązanie znacznie bardziej radykalne. I cóż, że sprzeczne z ustawą zasadniczą stanowiącą, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny? Tusk i „demokraci" koszulki z „konstytucją" zakładają przecież tylko, gdy są w opozycji.

Plus parę innych kwiatków jak choćby śląski uznany oficjalnie za język regionalny. Co by było następne?. Stworzenie autonomicznego województwa śląskiego na prawach landu ze stolicą w Kattowitz?

Taki jest tylko bezpośredni dorobek około 50 wet lub odesłań do TK, po które sięgnął prezydent Nawrocki. I choć to ledwie 13 procent wszystkich ustaw, które trafiły przez ten rok na biurko prezydenta i z których ponad 80 procent zostało podpisanych, to i tak wszelki opór doprowadza uśmiechniętą koalicję do białej gorączki. Usłużne media zaś liczą i liczą, ile też kosztowały weta Nawrockiego. Oczywiście nie dodając, że wychwytując ewidentne babole ustawodawcy, prezydent znacznie poprawia jakość stanowionego w Polsce prawa.

Ale ten rok to przecież nie tylko faktyczne weta. To, że głową państwa jest polityk opozycyjny, stanowi gwarancję, że rządzący nami liberałowie nie idą na całość. Gdyby w Pałacu Prezydenckim był taki Trzaskowski, to cóż by nas mogło ochronić przed ponownym podniesieniem wieku emerytalnego, likwidacją wolnych niedziel w handlu. Albo – bo ja wiem – zgodą na przyjęcie w Polsce euro.

I choć najważniejsze weto ostatnich miesięcy, czyli sprawa unijnej pożyczki SAFE, zostało przez rząd nielegalnie ominięte, to jednak daje ono szansę, że ci, którzy ten SAFE bezprawnie podpisali, zostaną za to kiedyś pociągnięci do odpowiedzialności.

Rok Nawrockiego to również pilnowanie spraw strategicznych. Głównie tego, by Polska nie została wepchnięta w antyamerykański kanał i nie uciekała w fantazję o opieraniu swojego bezpieczeństwa militarnego wyłącznie na słabej Europie. W tych minionych miesiącach to Nawrocki pilnował, by nasz sojusz z USA nie został lekkomyślnie zerwany przez nieodpowiedzialnych harcowników od marszałka Włodzimierza Czarzastego czy ministra Radosława Sikorskiego.

I jeszcze jedno – Nawrocki przy Krakowskim Przedmieściu jest gwarancją, że będzie istniała sprawiedliwość także w drobnych sprawach. Ot, choćby legenda Solidarności Adam Borowski nie będzie posłany za kraty za to, że ośmielił się mówić głośno o nieładnych sprawkach szarej eminencji rządzącej koalicji.

Byliśmy o włos od tego, żeby tego wszystkiego nie było.

eprasa.pl 8bb7115c0b

11.08.2026
WYDANIE Nr
32

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Nasza rozmowa z Kelusami

6 **Z nieskończoną wciąż historią. Rozmowa z U. Sikorską-Kelus i J.K. Kelusem**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Rządzi KGB 24

KRAJ

Meble na eksport, pracownicy na bruk 26
Liberalni foliarze. Gdy reptilian zastępują PiS-owcy 30
Forum Polsko-Chińskie miejscem kluczowych dyskusji o gospodarce, geopolityce i suwerenności 33
Rozwój Plus Matysiak? Rozmowa z P. Matysiak 34

ZAGRANICA

Amerykański sen drożeje. Biały Dom chce 100 tysięcy dolarów za „zieloną kartę” 40
Chcą brać i nie kwitować 44

SPOŁECZEŃSTWO

Europejczycy kontra patrioci 48

KULTURA

Naturalność jest moim największym atutem. Rozmowa z M. Wrochną 52
Waszyngton i inni młodzi ludzie 56
Kiedy muzyka złamała dyktat cenzury. 45 lat od I Przeglądu Piosenki Prawdziwej 59

HISTORIA

Zadwórze, polskie Alamo z roku 1920 60

RELIGIA

Błąd w kodzie systemu. Jak święty z Niepokalanowa pokonał logikę Auschwitz 64

ZWIĄZEK

Co w związku 70

FELIETONY:

OKRASKA 5
GAC 47
PŁUŻAŃSKI 67

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 38
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 39
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72
PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 8bb7115c0b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Twierdza Europa

50 tysięcy Marokańczyków dostało się do 85-tysięcznej Ceuty. Chociaż obserwujemy już schyłek świata, w którym dla części ludności masowa migracja uchodziła za nieszkodliwe, a wręcz pożądane zjawisko, bo „będzie kolorowo", to nadal zdumiewa część argumentów, którymi nadal liberałowie i lewica próbują karmić opinię publiczną. Naczytaliśmy się więc, że „Ceuta leży w Afryce Północnej", więc nic się tak naprawdę nie stało. Tak, Ceuta nie leży na kontynencie europejskim, a Marokańczycy nie przepłynęli wpław długiego dystansu, lecz jedynie, przez nikogo (celowo) nie niepokojeni opłynęli falochron dzielący terytorium Hiszpanii z terytorium Maroka. Czy to ma oznaczać, że nic się nie stało? Mieli w takiej masie pozostać w Ceucie? Czy gdyby umożliwiono im przemieszczenie się w głąb strefy Schengen, nadal by temu kibicowano?

Za każdym migrantem, który odważa się na płynięcie przez fale na dmuchanym materacu czy łódce-samoróbce, kryje się ludzka tragedia, a przynajmniej chęć odmiany losu. Niestety, zza pleców migrantów wyłaniają się potężniejsze – i gorsze – siły, które sterują geopolitycznymi procesami. Interesy Rosji, interesy USA. Stałe elementy wojny hybrydowej. Przeciąganie liny.

Przede wszystkim jednak od 2015 r. dyskusja o migracji jest przez niektóre środowiska wciąż ustawiana pod tym samym kątem – to ubodzy ludzie szukający swojego miejsca w świecie, owszem, może i trzeba ich weryfikować, ale przede wszystkim humanitaryzm wymaga natychmiastowego ich wpuszczenia, gdy pojawią się „u bram". Takie myślenie wywraca się na wszystkich zakrętach, a mimo to wśród niektórych wciąż triumfuje. Przeciwstawiany mu jest szantaż moralny pod hasłem: „Jakim człowiekiem trzeba być, żeby mieć wątpliwości". Oraz „nie ma bardziej rasistowskiego kraju niż Polska" (spoiler: są takie kraje).

Można współczuć ubogim Polakom i nieść im pomoc, a w przypadku migrantów z daleka od tego współczucia abstrahować.

Można być kobietą i po prostu bać się napływu młodych mężczyzn z kultur, które pewnych kwestii nie przepracowały.

Można chcieć, by Polska pozostała krajem jednonarodowym, monoetnicznym. Można chcieć żyć wyłącznie wśród „swoich".

Można wierzyć, że „nie ma już" Francji, Szwecji, Hiszpanii.

To nie są przewiny – to uniwersalne emocje, za które jednak każe nam się odczuwać wstyd.

A wstyd pojawia się i tak. Wstyd, że Europa stała się twierdzą, której granice miały być nieprzenikalne – tylko że w tym samym czasie rozsadzana jest od środka, bo część krajów wciąż uważa, że milion nowych osób to nic takiego, będą po prostu jeździli Uberem. Tymczasem niechęć do zalewu rynku pracy przez nowych, opłacalnych dla systemu pracowników to nie rasizm. To troska i strach o własny klasowy interes.

eprasa.pl 8bb7115c0b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Z nieskończoną wciąż HISTORIĄ

Jan Krzysztof Kelus i **Urszula Sikorska-Kelus** należą do pokolenia, którego biografie splotły się z najważniejszymi doświadczeniami polskiej opozycji antykomunistycznej. Zaangażowani w Marzec '68 i „sprawę taterników", po Czerwcu '76 nieśli pomoc represjonowanym robotnikom i współpracowali z KOR. Ona prowadziła „latającą bibliotekę", on stał się jednym z najważniejszych twórców drugiego obiegu, przez kilkanaście lat nagrywając piosenki, takie jak „Ballada o szosie E-7", „W pałacach i na poddaszach", „Sentymentalna panna S." i wiele, wiele innych. W stanie wojennym współtworzyli wydawnictwo CDN i Oficynę Fonograficzną CDN. O tym wszystkim, nie uciekając od tematów współczesnych, **Agnieszka Żurek** i **Krzysztof Karnkowski** rozmawiają z małżeństwem Kelusów w ich mazurskim domu położonym – niczym w piosence – „kawał w bok od szosy głównej".

Jan Krzysztof Kelus: – Piosenki?... Czy poświęciłem im kawał życia? Nigdy o nich tak nie myślałem. One raczej pewnemu, skądinąd ważnemu, okresowi w moim życiu towarzyszyły, czasem wypełniając go bez reszty, to znów usuwając się na drugi plan. W porównaniu z dość długim życiem, które sprezentował mi los, tamten zdominowany przez piosenki jego fragment, choć ważny, wydaje mi się stosunkowo krótki. Śpiewałem nie dłużej niż 13–14 lat. Nie miałem żadnych walorów wokalnych: głos beznadziejny, brak wyczucia rytmu. Na gitarze grałem skandalicznie źle. Na domiar złego miałem za krótkie palce. Gdy z Jackiem Kleyffem przymierzaliśmy dłoń do dłoni, to moja wyglądała tak, jakby mi końce palców pies poobgryzał. Grać z takim anatomicznym upośledzeniem na gitarze to skaranie boskie. Walka z kalectwem. Miałem za to nadzwyczaj dobrych przyjaciół, którzy nagrywali mnie na profesjonalnym sprzęcie, właściwie najlepszym, jaki wtedy był dostępny: magnetofony „Nagra" Stefana Kudelskiego, studyjne mikrofony pożyczane z radia. Sprzęt był dobry, ale nagrywaliśmy wyłącznie w prywatnych mieszkaniach, nigdy w studiu. A to stwarzało dodatkowe utrudnienia, bo akustyka była daleka od ideału. Potem Basia Okoń-Makowska – muzykolog i realizator dźwięku – bardzo pieczołowicie robiła mastering w Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia i moje zupełnie nie do przyjęcia gitarowe kiksy, dykcyjne i rytmiczne obsuwy potrafiła wymiksować, zatuszować, powycinać. Kompresowała nagranie, tłamsiła niskie częstotliwości, podbijała wysokie i w efekcie dostawaliśmy taśmę matkę, z której można było kopiować kasety. W wielkiej mierze jej zawdzięczam to, że dało się tych piosenek słuchać. Potem, w stanie wojennym, kilka nagrań zrobili mi także inni dźwiękowcy: Marek Kuczyński z Czołówki i Małgosia Jaworska z Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Wszystkim im jestem bardzo wdzięczny. A potem, już jak trzeba było tłuc te kasety, to własne piosenki mogły się człowiekowi obrzydzić. Gdyby malarz przełożył na płótno to, co jawiło mu się w głowie – a potem musiał zrobić 1000 ko-

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fot. arch. rozmówców (4)

pii tego samego obrazu, to by pewnie zwariował. Pisarz skazany na przepisanie 1000 razy swego dzieła również. Ani autor, ani wykonawca piosenek nie powinni być skazani na ich masowe powielanie. W normalnych warunkach tak się nie dzieje. Tyle że realia, w jakich żyliśmy w komunie, nie były normalne. Próbowaliśmy radzić sobie z tym tak, że do jednego dużego magnetofonu szpulowego podpiętych było kilka pożyczonych od przyjaciół kaseciaków – ludzie mieli już właściwie wyłącznie magnetofony kasetowe. Kiepsko to wychodziło: magnetofony sprzęgały się, gdy jeden wysiadł, sygnał u reszty się wzmacniał i były przesterowania. Wojtek Makowski, inżynier ze Studia Eksperymentalnego, a prywatnie mąż Basi, zrobił nam jakieś elektroniczne ustrojstwo do separacji sygnału, które nazwaliśmy pieszczotliwie „rozwielitką". Trochę pomagało, ale nadal był to katorżniczy proceder: nagrywać, sprawdzać, czy się nagrało, korygować błędy – i tak w kółko. Nagraliśmy we dwójkę z Kubą [pseudonim Urszuli Sikorskiej-Kelus – przyp. red.] w sumie tysiąc dwieście kaset. Nakręcało nas to, że ludzie najwyraźniej chcieli tego słuchać. Czasem myślę, czy nie przesadzaliśmy z troską o jakość? Sam nie wiem. Założenie niby było takie, że te kasety mają się rozmnażać. I rozmnażały się jak króliki tym płodniej, im jakość wyjściowa była lepsza. Zdarzało się, że wracały do mnie jakieś kolejne kopie tak zjechane, że nie byłem w stanie rozpoznać własnego głosu. Ludzie opowiadali, że gdy trafiła im się taka kopia z pięćdziesiątej generacji, to na jakichś spotkaniach rodzinnych czy towarzyskich leciało coś tam z kaseciaka, a lektor czytał tekst, bo z fonii słów w zasadzie nie dawało się już zrozumieć.

– Co zadecydowało o powodzeniu tego piosenkowego przedsięwzięcia? Forma czy treść?

J.K.K.: – Chyba jedno i drugie. Trudno o tym opowiadać ludziom, którzy nie znają tamtego czasu. Realia tak

eprasa.pl 8bb7115c0b

bardzo się zmieniły. Przecież teraz każdy, nawet Jaś Kapela czy Roman Giertych, może wynająć jakieś studio, nagrać to, co mu się w głowie wykociło, zapłacić jakiejś firmie fonograficznej i stać się posiadaczem dowolnej liczby płytek CD. Limitem jest głębokość portfela. W komunie to trochę inaczej wyglądało. Dziś potrzebna jest kupa pieniędzy: w komunie wystarczyło trochę odwagi. Oczywiście po to, by artystycznie zaistnieć, trzeba przekazać treści, które znajdą jakiś rezonans w duszach odbiorców, zadziwić ich czymś, zafascynować. Mnie się to w jakimś sensie udało. Znalazłem z moimi odbiorcami wspólny język. W treści moich przyśpiewek odnajdywali ducha niezgody, tego samego, który pobrzmiewał w ich własnych duszach. Prastare kiplingowskie: „ja i ty jesteśmy z jednej krwi". Opornicy. Zalążki przyszłej opozycji.

Wspólne zdjęcie państwa Kelusów z obserwacji SB

Fot. arch. IPN

Początkowo była ich garstka. W społeczeństwie, po którym przejechał walec stalinowskiego terroru, nie mogło ich być zbyt wielu. Ale powoli coraz więcej ich przybywało. To była nisza zwolenników mojej twórczości. No i forma. Protest song w krajach komunistycznych w okresie poststalinowskim – może i przedtem, choć nie wiem – miał się całkiem nieźle. Tyle że w innej formie. Docierały do nas nagrywane na magnetofonach szpulowych taśmy Rosjan, którzy o stalinowskim terrorze mieli najwięcej do opowiedzenia. Wysocki, Galicz, Kim; nawet politycznie niewinne recitale Bułata Okudżawy odbierane były jak świadectwa niezgody na komunę. Zaistniał, choć nie wiem, czy nie ukuty później, termin „magnetizdat" – starszy nieco brat samizdatu. Artyści nagrywani byli na prywatnych lub jakichś półpublicznych występach, na ogół anonimowo, bo i tak każdy wiedział, o kogo chodzi; taśmy krążyły po ludziach, po domach. I tak to się działo.

– To dlaczego nie zrobił Pan tak samo?

J.K.K.: – Miałem wrażenie, że szpulowe taśmy nie zrobią wrażenia na odbiorcach. Nawet bezpieka nagraniami Rosjan się specjalnie nie przejmowała. Magnetofony szpulowe dawały lepszą jakość nagrań, ale były drogie, nieporęczne i w wyraźnym odwrocie, wypierane przez znacznie tańsze, lżejsze i coraz bardziej popularne magnetofony kasetowe. Mój pierwszy magnetofon był tanim kaseciakiem. Szpulowego nigdy nie miałem, czasem udało mi się od kogoś pożyczyć.

– I od tych piosenek wszystko się zaczęło?

J.K.K.: – Sam nie wiem. Może i od nich. One były pierwsze, jakie śpiewałem. Choć miałem też inne

eprasa.pl 8bb7115c0b

inspiracje. Woody'ego Guthriego, Pete'a Seegera, Boba Dylana – póki nie podłączył gitary do elektryczności. Na nich uczyłem się brzdąkać na gitarze. Potem dopiero ośmieliłem się wymyślać własne piosenki. Najpierw śpiewałem znajomym, w schroniskach, w górach, na Mazurach przy ogniskach, na spotkaniach towarzyskich w mieście. Kiedy trochę się ich nazbierało, istniało już jakieś środowisko, powstał KOR. Był taki salonik u państwa Walendowskich: wnuczki Melchiora Wańkowicza i Tadeusza Walendowskiego. Zapraszali ludzi na wieczory autorskie, odczyty i zaproponowali, żebym przyszedł coś zaśpiewać. Wcześniej taką propozycję dostał Jacek Kleyff. Formuła była taka, że gospodarze to nagrywali na szpulowego Philipsa, a potem goście mogli przychodzić i sobie przegrać. Spytałem, czy ktokolwiek przyszedł po piosenki Jacka. Tadzio powiedział, że owszem: przyszły dwie osoby. Jacek miał wtedy świetne piosenki na spektakle Salonu Niezależnych; ludzie nie mogli się dopchać, a u Walendowskich coś nie wypaliło. To było, o ile pamiętam, pod koniec pierwszego roku działalności KOR-u i towarzystwo ze światka opozycji było tak zalatane, zafiksowane na użeraniu się z komuną, że na przegrywanie piosenek Jacka wyraźnie ani głowy, ani czasu nie miało. Zdałem sobie sprawę, że rosyjska metoda się wyczerpała i za jej pomocą moich piosenek nie spopularyzuję. Potrzebna była kaseta z okładką, tytułem i nazwiskiem. Gotowy towar, który ma się sprzedawać z zyskiem, niezbędnym do tego, by móc zakupić następną partię kaset i nie zbankrutować. W kwestiach finansowych w życiu kiepsko mi szło. Rozumowanie z ekonomicznego punktu widzenia było w zasadzie poprawne. Z małym wyjątkiem: nie skalkulowane zostały koszty robocizny. Pożyczyliśmy kasę. Taśmę matkę nagrał na pożyczonym Philipsie mój przyjaciel Witek Tuszko. Pozytywy okładek powielił na domowym powiększalniku Jaś Trammer. Jakimś cudem udało się kupić, a potem powielić, 200 pierwszych kaset. Brakowało tylko formuły. W końcu ją wymyśliłem. W kolejnych wersjach trochę się zmieniła, ale odsłuchując kasety, tyle razy ją słyszałem, że bez trudu odtworzę ją z pamięci. Brzmiała mniej więcej tak: „Jako niezależny twórca działający poza Państwowym Monopolem Rozrywkowym wyceniam wartość moich piosenek na 5 zł 40 gr sztuka. Zastrzegam prawa autorskie i wyrażam zgodę na kopiowanie kasety pod warunkiem wpłacenia tantiem w wysokości 100 zł lub 10 dol. poza krajem na poniższy adres: Jan Krzysztof Kelus; Raszyńska 52 m. 8; 02-033 Warszawa". Myślę, że ta właśnie zajawka to był strzał w dziesiątkę. Poszedłem do Walendowskich, zaśpiewałem kilkanaście piosenek i ku mojemu zdumieniu pierwsze dwieście kaset poszło jak świeże bułeczki. Sprzedały się wszystkie i nawet trochę zabrakło.

Urszula Sikorska-Kelus: – Zostało nam kilka przekazów pocztowych z tamtego czasu. Zobaczcie: to świadectwo tego, ile wówczas było strachu w ludziach. Na przekazach pocztowych trzeba było umieścić nazwisko nadawcy. Początkowo przychodziły więc same anonimy: „Jan Kowalski", „En Nijaki", „K. Każdy", „Przymanowski", „J. Staszelis" [bohater jednej z piosenek Kelusa – przyp. red.]. Ci nieznani nam ludzie naprawdę mieli poczucie, że powinni zapłacić. Ale się bali. Były horrendalne sytuacje: ktoś puka do drzwi na Raszyńskiej, wchodzą dwa maluchy i mówią, że rodzice prosili, żeby przyniosły sto złotych. My mówimy: „To lećcie szybko, zaproście rodziców. Usiądziemy sobie, pogadamy...". A one: „Nie, my musimy zaraz wracać, bo rodzice czekają w samochodzie za rogiem". Albo innym razem koperta w skrzynce. Adres wyklejony pracowicie z wyciętych z jakiejś gazety drukowanych liter. W środku stuzłotowy banknot z Ludwikiem Waryńskim i orłem bez korony. I na pustej kartce, wyklejone tą samą techniką z gazetowych czcionek słowo „DZIEKUJĘ". Ile ten zacny człowiek musiał się najeść strachu, wrzucając do skrzynki ten list? Przecież najwyraźniej zakładał, że bezpieka zna charaktery pisma wszystkich obywateli; jest w stanie rozpoznać każdą czcionkę maszyny do pisania. I nie był odosobniony w tych mniemaniach. A jednak imperatyw moralny okazał się silniejszy. Mało się nie popłakałam, kiedy przyszły pierwsze przekazy z prawdziwymi imionami, nazwiskami i adresami. W zasadzie dopiero w czasie karnawału Solidarności. Opowiem coś naprawdę wzruszającego. W zeszłym roku, jesienią, na festiwalu NNW w Gdyni jakiś pan powiedział,

NIE MIAŁEM ŻADNYCH WALORÓW WOKALNYCH: GŁOS BEZNADZIEJNY, BRAK WYCZUCIA RYTMU. NA GITARZE GRAŁEM SKANDALICZNIE ŹLE.

eprasa.pl 8bb7115c0b

że jest mu bardzo wstyd, bo wtedy nie zapłacił stówy. I że bardzo prosi o adres, by uregulować stary dług. Albo w tym roku pewien lekarz. Ta sama sytuacja, tylko tym razem prosił o numer konta. Mija kilka dni; przypadkiem loguję się w banku. Przeglądam historię rachunku. Przelał tysiąc złotych.

J.K.K.: – Dobra, dobra, Kuba! Jeden skowronek nie czyni wiosny. Dwa również. Ale i tak się założę, że dłużników mam więcej niż niejeden paskarz od chwilówek. A w kwestii strachu to też tak do końca nie byłem pewny, jak bezpieka zareaguje na tę prowokacyjną zajawkę. Teraz może się ona jawić jako niewinny żart, bardziej wygłup niż coś poważnego, ale w realiach komuny to była wyjątkowa, wręcz ostentacyjna bezczelność. Kpina z cenzury – jednego z głównych filarów, na których opierał się komunistyczny ład. Nic więc dziwnego, że towarzyszyły mi niepewność, niepokój znany każdemu, kto przekracza granice między tym, co wolno, a czego nie wolno, wkracza w szarą strefę niepewności, w której zaczyna go dręczyć odwieczne pytanie: „Co mi zrobią, jak mnie złapią?”. W takiej sytuacji w normalnym kraju korzysta się z porady adwokata. PRL normalnym krajem nie była, ale po roku funkcjonowania KOR-u jakieś zaczątki normalności najwyraźniej zaczynały kiełkować: po raz pierwszy od wielu lat taki delikwent jak ja mógł się zwrócić do współpracujących z opozycją adwokatów bez obaw, iż składa donos na samego siebie. I w dodatku miał wybór, bo było ich wówczas trzech: Władysław Siła-Nowicki, Witold Lis-Olszewski, Jan Olszewski. No, może jeszcze Stanisław Szczuka jako czwarty, rezerwowy. Luksus. Wybrałem Jana Olszewskiego. Potraktował mnie bardzo serio, zapoznał się z zajawką na kasecie, zastanawiał się przez chwilę, po czym zadał mi dokładnie to pytanie, z którym do niego przyszedłem: „Czy były przypadki, że ubecy znaleźli to podczas jakiejś rewizji, i co z tym zrobili?”. Odpowiedziałem, że dotąd tego nie wywąchali. Mecenas był pragmatykiem, a nie doktrynerem, wiedział doskonale, że prawem zwiemy klauzule kodeksów i ustaw, ale „law in action” – prawo w działaniu to nic innego niż wiedza o tym, co dany urząd, organ, sąd czy agencja zrobi w konkretnej sprawie i jakie to będzie miało konsekwencje dla klienta. Brak precedensu wyklucza predykcje. Uczciwy adwokat rozkłada wówczas ręce i mówi, że nie wie. Dokładnie tak postąpił Jan Olszewski. Uścisnął mi rękę na pożegnanie, życzył powodzenia i uprzedził, że żaden adwokat niczego sensownego nie doradzi. Muszę działać sam na własną odpowiedzialność.

NAKRĘCAŁO NAS TO, ŻE LUDZIE NAJWYRAŹNIEJ CHCIELI TEGO SŁUCHAĆ.

– Skąd braliście kasety?

J.K.K.: – Trzeba było kombinować. Jak ze wszystkim. Znalezienie w sklepie 60-minutowej, czystej kasety graniczyło z cudem. Komuchy miały instynkt samozachowawczy i wiedziały dokładnie, do czego kaseta może służyć. Podobnie jak papier. Z dystrybucji sklepowej go wycofali. Czasem udało się wykupić nagrane kasety z festiwalu piosenki żołnierskiej czy temu podobnych imprez, wykasować je i na nie nagrywać. Ale takie nie miały standardowej długości i były z tym kłopoty. Potem, w Oficynie, mieliśmy trochę z Zachodu, trochę z przemytu, sporo od Solidarki z wytwórni Stilon – z... Gorzowa, o ile pamiętam. Na początku to jeszcze nie były wielkie ilości. W naszym mieszkaniu na Raszyńskiej we dwójkę z Kubą – jak już mówiłem – nakręciliśmy w sumie 1200 sztuk. Potem przyszła Solidarność – karnawał – wszyscy mieli ważniejsze sprawy na głowie i na piosenki była posucha. Dopiero pod koniec, kiedy wybuchły strajki studenckie, przez krótki czas dość dużo jeździłem po rozmaitych uczelniach i śpiewałem. Różnie mi to wychodziło. Im mniejsza sala, im bardziej kameralnie, tym lepiej. W Piwnicy pod Baranami jakoś mi poszło nieźle, ale na dużych salach, np. w Teatrze Wielkim, to była tragedia.

DZIŚ POTRZEBNA JEST KUPA PIENIĘDZY: W KOMUNIE WYSTARCZYŁO TROCHĘ ODWAGI.

U.S.-K.: – Potem był stan wojenny. Nie zdążyli nas zwinąć. Ukrywaliśmy się i przez pierwsze cztery czy pięć miesięcy zakładaliśmy z Czesiem Bieleckim i Marysią – przyszłą żoną Czesia – wydawnictwo CDN; przygotowywaliśmy głównie lokale,

eprasa.pl 8bb7115c0b

skrytki, kooperantów – całą taką potrzebną do rozruchu przedsięwzięcia infrastrukturę. Tyraliśmy ostro przez trzy pierwsze miesiące stanu wojennego, w zasadzie od rana do godziny policyjnej.

– A maszyny? Przecież to podstawowa rzecz. Wydawnictwo musi mieć na czym drukować.

J.K.K.: – Na początku mieliśmy tylko jakiś powielacz białkowy. Związkowcom i sympatykom Solidarności udało się jednak wynieść i zakopcować na mieście trochę sprzętu. Doszła do nas wiadomość, że jakiś powielacz jest ukryty w piwnicy w blokowisku na Woli. Czesio Bielecki dostał od lokatorów klucz do kłódki i załatwił transport. Mieli to przewieźć związkowcy z Pogotowia Elektrycznego – ekipa do usuwania awarii. Pojechaliśmy na miejsce; okazało się, że to nie powielacz, tylko offset. Duży i ciężki jak wór węgla Gestetner. Związkowcy władowali go do samochodu pogotowia technicznego, dostali kartkę z adresem małego domku na Sadybie... I nagle powiedzieli: „Niech ktoś z nas wsiada z nimi". W razie przypału powiedzą, że to nie do nich należy – ktoś ich złapał „na łebka", żeby mu to przewieźli. Padło na mnie. Ruszyliśmy. To były pierwsze tygodnie stanu wojennego, jakieś czołgi na mieście, patrole, zatrzymywanie samochodów, koksowniki na każdym rogu. Doskonała abstanowka dla tych, którzy lubią adrenalinę. Dojechaliśmy do Czerniakowskiej, kierowca nagle się zatrzymał; wskazał palcem wsteczne lusterko i powiedział do mnie: „Wysiadaj Pan z tym towarem, ktoś nas śledzi". Okazało się, że to Czesio eskortował nas małym Fiatem. Ale strachu się najadłem. Potem trzeba było ten skarb zabezpieczyć. Łysy wykombinował skądś mistrza z wieloletnią praktyką. Pan... zapomniałem imienia... budował dla

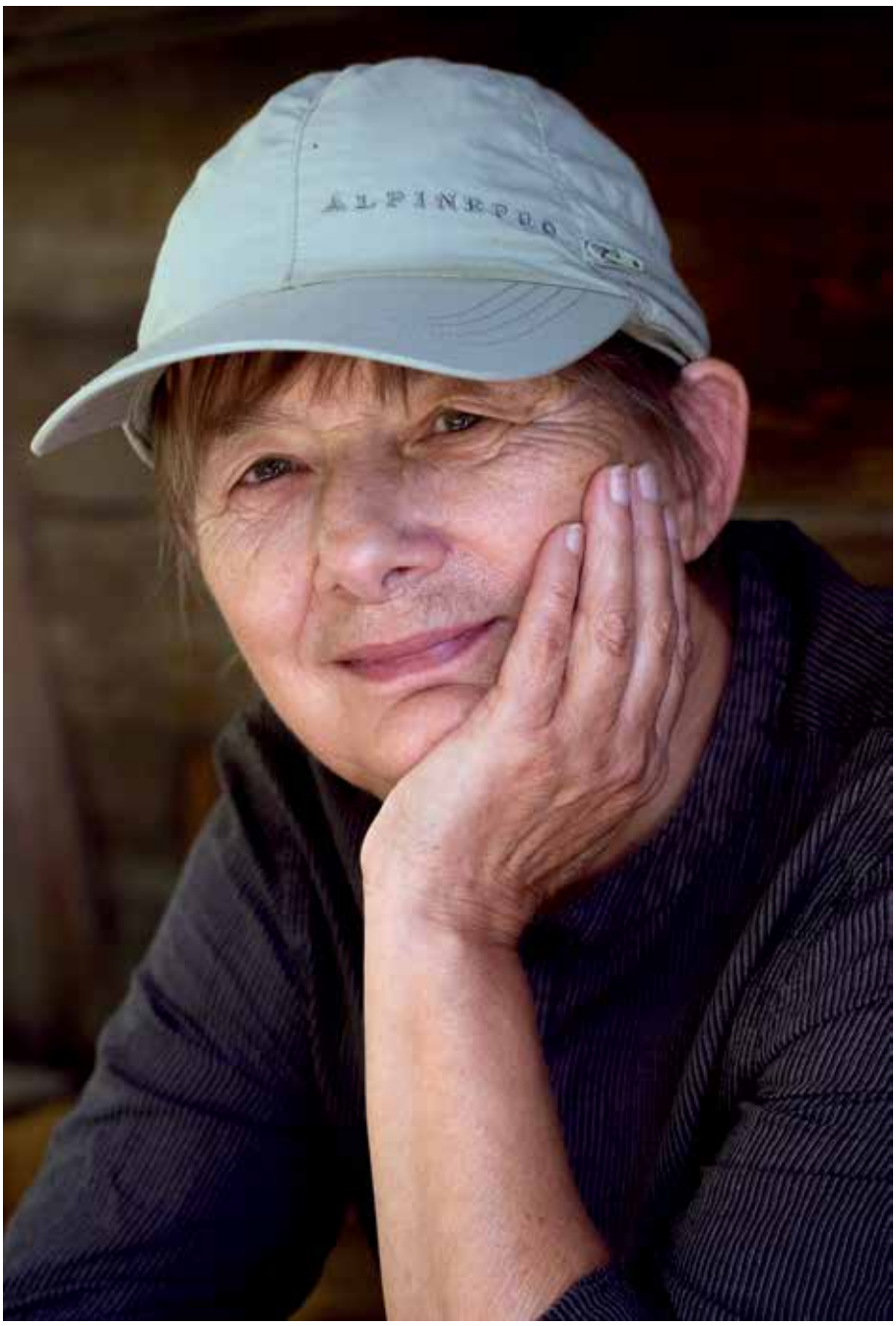

AK-a skrytki na broń, radiostacje; potem w Polsce Ludowej obsługiwał handlarzy walut, złota i naprawdę znał się na robocie. Był już starym człowiekiem; sam nie murował, musiał mieć czeladników. Pomagaliśmy mu we dwójkę: ja i mój młodszy przyjaciel Piotr Rackman, ksywa „Małolat", który drukował na tej maszynie w Regionie i miał to robić potem u nas. Na czym polegała skrytka, zamilczę. Licho nie śpi i nadal nie wszyscy moi rodacy muszą o tym wiedzieć.

U.S.-K.: – Bardzo nas zdumiało, gdy niedawno Janek dostał od przyjaciela telefon z pretensjami, żeby coś zrobił, bo w Wikipedii znajduje się informacja, że w czasie stanu wojennego Donald Tusk był współzałożycielem wydawnictwa CDN. Sprawdziliśmy i rzeczywiście taka informacja

eprasa.pl 8bb7115c0b

została dodana do życiorysu Tuska zaraz po wyborczym zwycięstwie koalicji spod znaku pięciu gwiazdek i tysiąca serduszek. Janek sądzi, że to przekłamanie czy nadinterpretacja i że nieporozumienie wynikło stąd, iż komuś pomyliło się pisemko „CDN", które rzeczywiście wychodziło w Trójmieście na początku stanu wojennego, ale poza tytułem nie miało ono nic wspólnego z naszym wydawnictwem. Źródło Wikipedii coś pokręciło. Czy był to przypadek, niechlujstwo czy usłużna hagiografia? Nie sposób orzec. Zadzwoniłam do Czesia Bieleckiego. Nie odebrał. Janek się w końcu do niego dodzwonił, ale co z tego. Czesio zgłosił pełne désintéressement. Jankowi też się nie chce tego sprostować. Mówi, że niezręcznie i może wyjść z tego wrażenie, że się starcy pokłócili o to, kto strzelał do Kutschery, a kto jedynie dał znak kapeluszem, by to uczynić. Obawiam się, że w efekcie informacja o Tusku – założycielu jednego z największych podziemnych wydawnictw stanu wojennego – zostanie wdrukowana przez Wikipedię w miliony mózgów i trwać w nich będzie do końca świata i o jeden dzień dłużej.

J.K.K.: – Nie wyzłośliwiaj się, Kubo. Rzeczywiście mi się nie chce. To powinien sprostować sam zainteresowany. Gdybym znalazł gdzieś swój biogram z informacją, że brałem udział w Powstaniu Warszawskim i na wózku inwalidzkim jeżdżę, bo mnie niemiecki czołg potrącił, to bym raczej sprostował. A gdybym w dodatku był absolwentem wydziału historii, to już na pewno bym tak postąpił. Po to, by nie robić ludziom wody z mózgu, a samemu nie narażać się na śmieszność. Odwiodło nas chyba od tematu przez tego Tuska.

– Co było z Wami potem?

U.S.-K.: – Potem...? Dużo rzeczy się działo. Radio Solidarność nadało pierwszą audycję i podczas niej poleciała zaśpiewana przez Janka piosenka „Ostatnia szychta na KWK «Piast»". Świetny, dramatyczny tekst Jakuba Brońca, opowieść przedstawiająca realia klęski widziane z perspektywy uczestnika przegranego grudniowego protestu. Bez zbędnego patosu, zdominowana żalem i bezsilnością kogoś, kto wie, że przegrał, lecz w klęsce stara się nie zatracić godności. I to wszystko opowiedziane z taką dbałością o konkret, szczegół, kopalniane realia, że wielu ludzi podejrzewa, że autorem musi być ktoś ze strajkujących górników. Trudno było znaleźć tekst lepiej oddający nastroje, które dominowały w pierwszych miesiącach stanu wojennego.

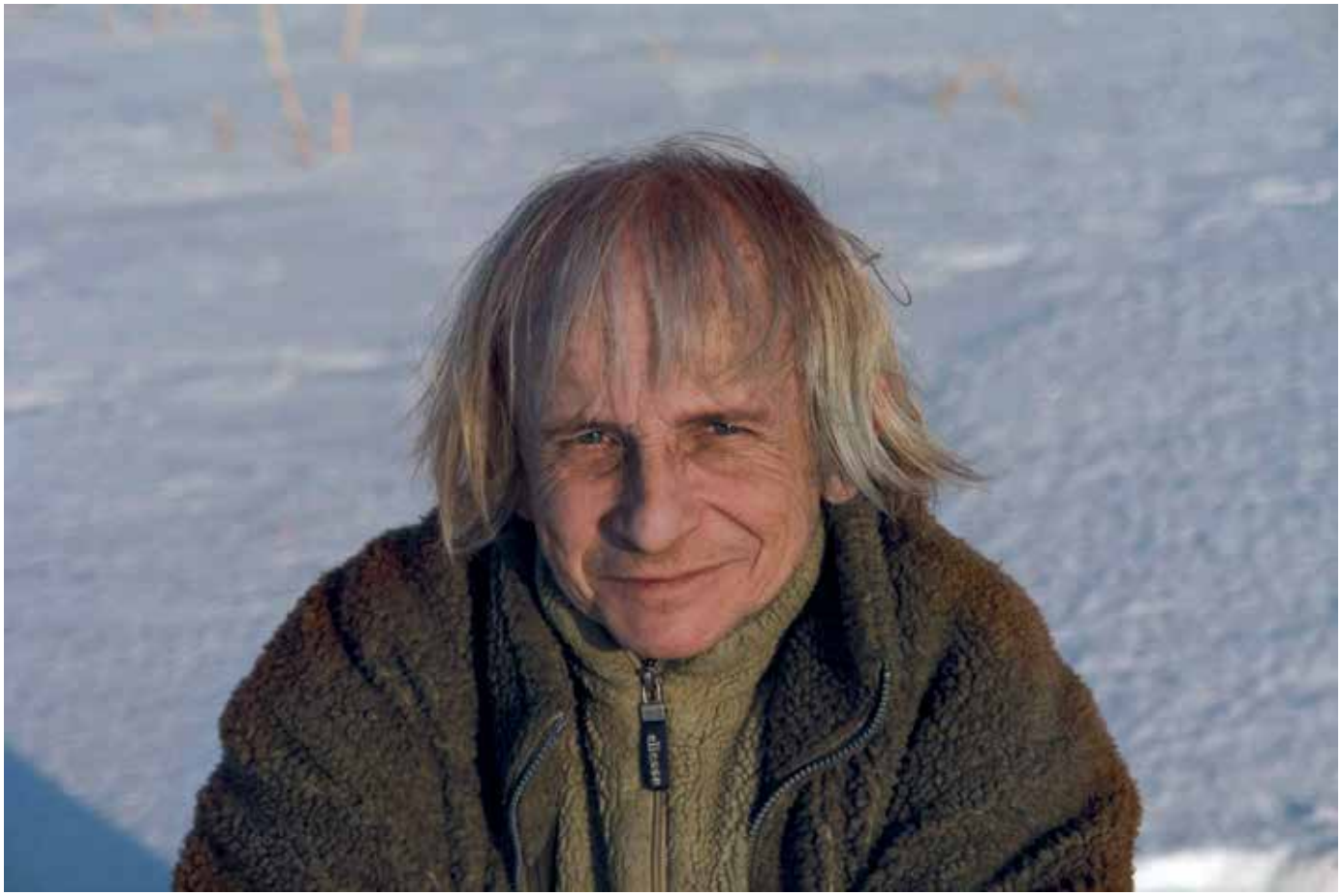

eprasa.pl 8bb7115c0b

– Kim był Jakub Broniec?

J.K.K.: – To był jego pseudonim artystyczny. Powiedział mi, że w stanie wojennym posłużył się pseudonimem wujka z Szarych Szeregów. Naprawdę nazywał się Jan Zazula, wśród przyjaciół miał ksywę Jaśko. I tak się często przedstawiał. Nie był górnikiem, tylko fizykiem teoretycznym; mieszkał w Krakowie, chodził po górach, grał na trąbie, pisał świetne teksty. Odnalazł mnie, gdy wyszedłem z interny po tym przypale z „Ostatnią Szychtą", dał mi plik tekstów i upoważnił do zrobienia z nich stosownego użytku. Co uczyniłem. Przedtem go nie znałem. Na tekst „Ostatniej Szychty" trafiłem na jakiejś ulotce w pierwszych miesiącach stanu wojennego... chyba w styczniu. Skleciłem melodię, nagrałem piosenkę na jakimś przypadkowym kaseciaku. Następnego dnia spotkałem na mieście Zbyszka Romaszewskiego, który też się ukrywał. Prócz sfałszowanego przez Tomka Michalaka dowodu osobistego dałem Zbyszkowi kasetę z „Ostatnią Szychtą", żeby ją sobie odsłuchał. O tym, że razem z Zośką zakładają podziemne radio, nie miałem zielonego pojęcia. Do momentu, gdy w trakcie audycji rozpoznałem głos Zosi. A Jakub Broniec wyjechał na stypendium naukowe do jakiegoś niemieckiego instytutu. Potem był we Francji i w Szwajcarii. Zginął w masywie Mont Blanc w lawinie seraków [duży blok lodu znajdujący się na lodowcu – przyp. red.].

– A jak to było z tą wpadką? Gdzie Was zwinęli?

U.S.-K.: – Jak to gdzie? W łóżku. O szóstej zwykle człowiek śpi, goły jak turecki święty i jak zwykle... któryś raz z rzędu... Budzisz się, a tu pokój pełen łapsów... a tym razem w dodatku dzielnych wojaków z kałachami – bo stan wojenny. Stoją nad łóżkiem, gapią się... Dla kobiety to bardzo niekomfortowa sytuacja. A uściślając, to w jednym z mieszkań, w których się melinowaliśmy. U Sławka Bobuli. I tym razem, o ile pamiętam, spaliśmy na materacu na podłodze, bo drugiego wyrka w mieszkaniu nie było. Po tej audycji Radia Solidarność ustaliliśmy z Łysym – taka była ksywa Bieleckiego – że Janek ma zakaz opuszczania okrętu. Z powodu tej audycji bezpieka mogła przypuszczać, że ma coś wspólnego z inicjatywą Romaszewskich. W końcówce karnawału był dość aktywny i po tych pośpiewankach na strajkach studenckich znało go, choćby z widzenia, sporo ludzi, w tym również tajniaków. Jeśli nadal będzie latał po mieście, załatwiając nasze interesy, to węszący za radiem ubecy go przyskrzynią. Do radia się przez to nie dobiorą, ale przy okazji mogą skaleczyć nasze wydawnictwo, zanim jeszcze zacznie na serio funkcjonować.

– Posłuchał Was?

U.S.-K.: – Tak. Daliśmy mu nawet zajęcie, żeby się nie nudził. Miał przygotować do wydania teksty swoich piosenek z chwytami gitarowymi. Wysiedział tydzień czy dziesięć dni, zaczął się wiercić i... Skończyło się tak, jak było do przewidzenia...

J.K.K.: – No dobra – przepraszam, że przerwałem. Logicznie biorąc, mieliście rację. Ale zastanów się, jak długo miałem nie wychylać nosa z tego mieszkania „Pasiastej"? Czekać, aż bezpieka zwinie Romaszewskich, zbierze materiały śledcze i się ode mnie odczepi? A może do końca stanu wojennego? Do amnestii? Do końca komuny – w który nikt wówczas na serio nie wierzył? Jeśli ma się trochę kasy, jakieś środki na przetrwanie, przyjaciół, słowem... co jeść i gdzie spać, to ukrywanie się nie jest wielkim problemem... no... może pewną niewygodą. Ale pod jednym warunkiem: wtedy, gdy jesteś aktywna i nie rezygnujesz z tego, czym jako wolny człowiek się zajmowałaś. Bierne ukrywanie się dewastuje psychicznie. Człowiek staje się więźniem własnego strachu. To są przemyślenia z własnych doświadczeń. Po marcu 1968 roku oboje ukrywaliśmy się przed gliną przez pół roku.

U.S.-K.: – Posłuchajcie dobrej rady wujka Janka: Złodziej, gdy się ukrywa, powinien dalej kraść. Konspirator konspirować. Lepiej dać się od razu zamknąć, niż trwać w kryjówce ze strachu przed zamknięciem. A tak na serio to on ma rację, ale za wcześnie wylazł na miasto.

J.K.K.: – Tę pierwszą audycję Radia Solidarność bezpieka zlekceważyła. Pomimo tego, że musiała o niej wiedzieć, bo na mieście krążyły ulotki z jej zapowiedzią. Nie namierzyli nadajnika i nawet nie próbowali audycji zagłuszać. Podejrzewam, że nie przewidzieli dwóch rzeczy: tego, że emitowana była w paśmie UKF i takim zasięgu. A zasięg emitera

ZOSTAŁO NAM KILKA PRZEKAZÓW POCZTOWYCH Z TAMTEGO CZASU. ZOBACZCIE: TO ŚWIADECTWO TEGO, ILE WÓWCZAS BYŁO STRACHU W LUDZIACH.

eprasa.pl 8bb7115c0b

zaskoczył wszystkich, z konstruktorem nadajnika włącznie. Ale potem wzięli się na serio do roboty. Wypada przyznać, dość sprytnie. Żeby wywabić mnie z nory, podsunęli mi, by tak rzec, spersonalizowaną przynętę. Wiadomość od faceta, który pracował w biurze Regionu Mazowsze jako operator szybkich kopiarek kasetowych (daru od jakiejś francuskiej centrali związkowej). Gościa znałem z widzenia. Informował, że udało się uchronić przed rekwizycją jedną kopiarkę. Jak przyniosę upoważnienie z podpisem Bujaka, to mi ją wyda. Podziałało. Jakieś gadżety do charakteryzacji podrzucili mi zaprzyjaźnieni aktorzy z Teatru Dramatycznego, który w czasie karnawału wystawiał spektakl z moimi piosenkami. Przykleiłem sobie wąsy, przywdziałem pierwszy raz od matury dwurzędową marynarkę, ruszyłem na miasto. Gdy wysiadałem z tramwaju, jakiś chłopak w studenckiej czapce klepnął mnie w ramię i powiedział: „Ale przywaliłeś!". No, niedobrze – pomyślałem i natychmiast zawróciłem. Trzeba było inaczej. Pożegnaliśmy się z żalem z „Pasiastą", u której mieszkało nam się bardzo dobrze, i przenieśliśmy się do Sławka Bobuli. Sławek miał samochód i zaczął mnie wozić, żebym się nie szwendał po mieście. Pojechaliśmy do faceta od kopiarki. Ma nie zawracać d*py, żadnego kwitu od Bujaka nie dostanie, co najwyżej pokwitowanie z moim podpisem. Lepiej niech poda miejsce i godzinę do odbioru maszynki. Zaczął się wahać, czy może ją wydać; musi przekazać, komu wydaje... Umówiliśmy się na następne spotkanie. Wreszcie się zgodził. Do odbioru mieliśmy dwa dni. Trzeba było znaleźć bezpieczne miejsce na przechowanie maszynki. Kolejny dzień jeżdżenia po mieście. Obserwacja była perfekcyjna. Gapiłem się cały czas we wsteczne lusterko, wieczorami sprawdzałem, czy wokół mieszkania Sławka nic się nie dzieje. Nic niepokojącego. A wydawało mi się, że mam spore doświadczenie. Na ogół potrafiłem się dość szybko zorientować, że jestem śledzony. Ale to były doświadczenia kogoś, kto ani nie miał samochodu, ani nie poruszał się nim po mieście. Musieli użyć bardzo dobrej ekipy z kilkoma samochodami, a obserwację naszej chwilowej meliny u Sławka odpuścić. Potem okazało się, że zlokalizowali większość miejsc, które odwiedziliśmy, choć nie wszędzie za nami trafili. By nas nie spłoszyć, na klatki schodowe czy do windy za nami nie wchodzili. I potem dopiero robili rewizje w mieszkaniach, które wydały im się podejrzane. Straty w sprzęcie były niewielkie. Zwinęli kserokopiarkę, maszynę do pisania, kilka szpul taśmy magnetofonowej. Znacznie później dowiedziałem się, że operator kopiarki miał chorego dzieciaka, jakieś możliwości leczenia w Szwecji, starał się o paszport. Dostał propozycję nie do odrzucenia. Wstrzymuję się od osądu, bo nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nie miałem dziecka.

> KIEROWCA NAGLE SIĘ ZATRZYMAŁ; WSKAZAŁ PALCEM WSTECZNE LUSTERKO I POWIEDZIAŁ DO MNIE: „WYSIADAJ PAN Z TYM TOWAREM, KTOŚ NAS ŚLEDZI".

– Wylądował Pan w areszcie czy w internacie?

J.K.K.: – Początkowo trudno się było połapać. Zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich, odmówiłem jakichkolwiek zeznań, zwieźli mnie na dołek, do celi, w której mieli agenta. Agent przedstawiał się jako złodziej diamentów, znał doskonale środowisko zakopiańskie, przemytników od złota (taką legendę wkleili kapusiowi z powodu rozpracowania mojej osoby w „procesie taterników"). Kolejne audycje podziemnego radia nadawane były co tydzień. Niestety, zaczęły być bardzo skutecznie zagłuszane. Mobilne pelengatory namierzały orientacyjną lokalizację nadajnika. Margines błędu był spory: kilka bloków mieszkalnych, wycinek ulicy. Bezpieka zatrzymywała mieszkające w tym rejonie osoby, które wydawały się podejrzane. Agent miał obserwować, czy się znamy. Kto padał ofiarą tych czterdziestoośmiogodzinnych aresztów wydobywczych? Podam przykłady: krótkofalowiec albo radioamator – mieszka na jedenastym piętrze. Albo docent – pracował kiedyś w Instytucie ze Zbyszkiem Romaszewskim. Student – wlazł na dach wieżowca, twierdzi, że chciał się opalać. Takie kryteria. Szło im to śledztwo jak orka na ugorze, a ja, korzystając z okazji, mogę teraz podziękować młodemu (wówczas) chłopakowi, który udawał ciężko przestraszonego, ale zdołał w sposób nadzwyczaj dyskretny przekazać mi wiadomość, że Kuba nie siedzi, tylko melinuje się w szpitalu Przemienienia na oddziale mamy Janka Walca i że nic złego się z nią nie dzieje. Odsiedziałem na Mostowie cztery dni, byłem prawie pewien, że mam sankcje, ale nagle przewieźli mnie na Białołękę, do obozu dla internowanych. Po czym, po trzech

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fot. arch. IPN

dniach, znowu mnie stamtąd wygarnęli i zapuszkowali w tej samej celi w areszcie Komendy Miasta. Był tam oczywiście „złodziej diamentów z Zakopanego". Widocznie czekali, aż odłowią kolejnych podejrzanych o konszachty z Radiem. I rzeczywiście – zaczęli ich podstawiać do rozpoznania. Wyglądało na to, że będą mnie „wypożyczać" z internatu na każdy weekend, dopóki Radio będzie nadawać. Poprosiłem o coś do pisania, bo chcę złożyć oświadczenie. Trochę ich oszukałem, bo napisałem skargę do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, donos właściwie, traktujący o tym, że doszło do jawnego pogwałcenia postanowień Dekretu o stanie wojennym, według których osoba internowania powinna przebywać w Ośrodku dla internowanych, a nie w areszcie Komendy Miasta. Pomogło. Chyba nie czekali na odpowiedź. Po godzinie zabrali mnie na Białołękę. Ale tym razem nie tam, gdzie byłem przedtem, tylko do Pawilonu Czwartego, w którym siedziała Krajówka. Nie wiem, czy tak… po złości, czy dlatego, że trudniej było tam o kontakt z miastem. W Pawilonie siedziało się jak w normalnym więzieniu, tyle że towarzystwo było doborowe. Zakwaterowali mnie w celi z Heniem Wujcem i Januszem Onyszkiewiczem, a po sąsiedzku siedział Jacek Kuroń i… już zapomniałem kto. Można sprawdzić na zdjęciu, które udało mi się wyreżyserować i pstryknąć dzięki temu, że na spacerniak wyprowadzali nas razem z lokatorami z sąsiedniej celi. W kraju po raz pierwszy zdjęcie ukazało się w albumie wydanym przez CDN, w którym zatytułowane zostało „Pięciu Wspaniałych". Potem na okładce anglojęzycznego „Newsweeka" i w dziesiątkach gazet na całym świecie. Wyszło świetnie. W kadrze zmieściły się rekwizyty zniewolenia – mury i siatka odgradzająca spacerniak od reszty świata – a przywódcy związkowi nie wyglądali na załamanych więźniów i rzeczywiście przypominali bohaterów z westernu Johna Sturgesa. Prawdziwe zdjęcie ku pokrzepieniu serc. Dzięki niemu mam poczucie, że warto było odsiedzieć te parę miesięcy na Białołęce.

– Był Pan autorem tego zdjęcia?

J.K.K.: – Nie. Co najwyżej pomysłodawcą i wykonawcą. W tym wypadku należałoby stosować prawnokarną formułkę: „Działając wspólnie i we wzajemnym porozumieniu".

U.S.-K.: – Dodam do tego swój przysłowiowy – na szczęście jeszcze nie wdowi – grosz. Janek napisał mi w grypsie, żebym podesłała na Białołękę jakiś mały aparacik fotograficzny. Komórek ani cyfrowych małpek wtedy na świecie nie było. Nikt z przyjaciół niczego pasownego nie miał. Poszłam do Joanny Jaraczewskiej – przyszłej żony Onyszkiewicza. Powiedziała, że coś wykombinuje. A co do praw autorskich, to w przypadku fotografii reguła jest prosta. Powstają automatycznie w momencie zrobienia zdjęcia i należą do tego, kto nacisnął wyzwalacz migawki. Tyle że oboje z Jankiem uważamy, że w przypadku nielegalnie wykonanych zdjęć

eprasa.pl 8bb7115c0b

z więzienia takie kryterium jest absurdalne i wręcz nieuczciwe. Dodam od siebie, że każdy, kto przypisuje sobie autorstwo tego zdjęcia, popełnia grzech pychy. A jeśli w dodatku odniósł z tego tytułu jakieś korzyści finansowe, to jest nieuczciwy. Autorstwo jest w tym przypadku zbiorowe, należy do Związku, a beneficjentem powinna być jedynie Solidarność.

J.K.K.: – Okoliczności, w jakich negatyw trafił na Zachód, nie są do końca jasne, ale zostawmy to, bo znowu się zaczną klasyczne u kombatantów kłótnie o to, kto miał jaki udział w zamachu na...

– I co było potem, gdy Pana wypuścili?

J.K.K.: – Na prośbę Jacka Kuronia pojechałem do Łodzi, żeby przesłać mu informacje o zdrowiu jego żony, która leżała na oddziale Marka Edelmana. Przesłałem Jackowi gryps z listem od Gajki i pojechałem do pasieki.

U.S.-K.: – Mieliśmy wtedy ponad sześćdziesiąt uli i odkąd Janka wyrzucili z pracy w Akademii, sprzedaż miodu stanowiła dla nas główne źródło utrzymania. Było naprawdę sporo roboty i gdy Janek siedział, a ja wyszłam ze szpitala, pomagał mi Sławek Bobula. Jeździliśmy razem do pasieki, a ubecka ekipa, stale w tym samym Fiacie o numerach, które znaliśmy na pamięć, odprowadzała nas do granic województwa. Nigdy dalej. Taka widać była pragmatyka służbowa. Na miejscu lokalna bezpieka zadbała o założenie nam wsiowej obserwacji: w sąsiadującym z pasieką popegeerowskim budynku zainstalowali złodziejaszka, który miał mieć na nas baczenie, a koło łowieckie komendy MO w Olsztynie wynajęło tam osobny pokoik dla „myśliwych". Nic dziwnego, że czuliśmy się trochę zwierzyną łowną i traktowaliśmy jak idiotów naszych miejskich znajomych, którzy przyjeżdżali do nas z propozycjami typu: „Słuchajcie, tak tu u was spokojnie i cicho. Przyjęlibyście tu kogoś, kto się ukrywa, np. Zbyszka Bujaka?".

Fot. arch. IPN

J.K.K.: – Kuba nie zmyśla. Podała konkretny przykład. Sam to słyszałem. Ludzie kompletnie nie znają realiów wiejskich. Ukrywać się jest znacznie łatwiej w wielkim mieście. A partyzantka inna niż miejska – no może z wyjątkiem wysokich gór – też jest w obecnych czasach w zasadzie niemożliwa. Jesienią wróciliśmy do miasta, CDN zdążył wydać album ze zdjęciami z Białołęki w nakładzie, o ile pamiętam, tysiąca egzemplarzy i książeczkę z moimi piosenkami. Dołączone do nich były teksty piosenek, które wymyśliłem i przesłałem w formie grypsów z Białołęki. Miałem sporadycznie obserwacje i żeby nie narażać dzieciatych, nowe piosenki nagrała mi Małgosia Jaworska. W taki dość nietypowy sposób spędziłem w jej towarzystwie sylwestra. Pamiętam ją także, kiedy zasłabła przy okazji nagrywania „Sentymentalnej Panny S.". Nagrywaliśmy w mieszkaniu, które stało puste po śmierci jakiejś

eprasa.pl 8bb7115c0b

mojej dalekiej krewnej. Nagranie trwało trochę długo. Małgosia miała cukrzycę i źle się poczuła. Zbyt długo nic nie jadła, cukier jej zleciał. W mieszkaniu nie było kompletnie nic do jedzenia. Poleciałem na miasto po jakąś bułkę, w strachu, czy po powrocie zastanę ją przytomną. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło. I to był pierwszy i jedyny raz, kiedy zaśpiewałem „Sentymentalną Pannę S.". Jedyną osobą na świecie, która słyszała mnie śpiewającego tę piosenkę na żywo, była Małgosia w stanie bliskim hipoglikemicznej zapaści, w pustym mieszkaniu po zmarłej. Wszyscy inni znają mój głos tylko z kaset. Przyszła wiosna; wydawnictwo CDN działało i miało rozliczne plany. Przed wyjazdem do pasieki rozwiedliśmy się.

– Rozwiedliście się ze sobą?

U.S.-K.: – Nie. Z tym byłby kłopot, bo wtedy nie byliśmy jeszcze małżeństwem. Rozeszliśmy się z CDN-em, to znaczy z Czesiem Bieleckim.

– Dlaczego odeszliście z CDN-u?

J.K.K.: – Każde z nas miało trochę różne powody. Bieleckiemu zależało głównie na druku i zaczęło być jasne, że do produkcji kaset nie przywiązuje i nie będzie przywiązywał większego znaczenia. W dodatku wdał się w bardzo ryzykowne naszym zdaniem przedsięwzięcie – jakąś akcję agitprop nakierowaną na wojsko. Wściekłem się i powiedziałem mu, że wydawnictwu nie jest potrzebne zainteresowanie kontrrazwiedki całego Paktu Warszawskiego, a ja za ewangelizowanie trepów z LWP nie mam zamiaru nawet tygodnia w pierdlu odsiedzieć. Niech się w to wkręca sam, tylko uważa, bo może wypaść dłużej niż tydzień. Jak się okazało, niestety, miałem rację. To była jedyna awantura; co zaś do samego rozwodu, to odbył się bardzo kulturalnie. Podzieliliśmy lokale: zostali ze mną ci, którzy pracowali przy edycji pierwszej kasety, drobne środki, które wpłynęły z kolportażu i logo z małą modyfikacją. Ustaliliśmy z Łysym, że nadal działamy pod szyldem „Oficyna Fonograficzna CDN". Kolportaż mamy osobny, finanse również. On się nie wtrąca do nas, my do niego. Ubecja niech się głowi nad tym, czy chodzi o jedno, czy o dwa wydawnictwa. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Nie pamiętam dokładnie, czy nad tekstem „Małego Konspiratora" pracowaliśmy we trójkę przed czy po rozwodzie.

U.S.-K.: – Nadal się przyjaźnimy. Ostatnio nawet różnice w sympatiach politycznych specjalnie nas nie skłóciły. Cieszę się z tej naszej wspólnej przygody przy zakładaniu wydawnictwa. Odeszłam bez żalu, w poczuciu, że CDN został w zasadzie zorganizowany i da sobie beze mnie radę. Jankowi w interesie kasetowym też już nie musiałam pomagać; miał innych pomocników. Wróciłam do tego, czym zajmowałam się przedtem – do prowadzenia filii Latającej Biblioteki. Do moich dzieciaków z warszawskich szkół i uczelni.

J.K.K.: – Kuba prowadziła ten interes od 1977 roku. Z rezultatem. Kilkoro z jej podopiecznych miałem okazję spotkać na spacerniaku w Białołęce.

– O Oficynie Fonograficznej CDN niewiele wiadomo.

J.K.K.: – Niewiele? Prawie nic. Nie licząc bredni, którą ktoś nakarmił sztuczną inteligencję. Trochę w tym mojej winy. Po transformacji Łysy zaproponował mi, żebym coś napisał o początkach wydawnictwa i o oficynie, ale odmówiłem. Nie podobało mi się to, że opracowanie historii CDN-u zlecono facetowi za pieniądze ludzi z CDN-u. Podejrzewałem, choć dotąd pewności nie mam, czy nie głównie za pieniądze Łysego. Wydało mi się to receptą na zlecenie hagiografii czy panegiryku. Odmówiłem. Facet zebrał relacje kooperantów i na nich oparł swe dzieło. Nudne jak większość wspominków o opozycji. Czy rzetelne? Nie wiem, pozostawiam ocenę historykom. W każdym razie zrobił na tym doktorat. Morał z tego taki, że jakby komuś chciało się opracować historię Oficyny Fonograficznej CDN, to... no może nie na doktorat, ale na magisterium ma gotowca. Z tym że ja nadal – z powodów podanych powyżej – za to zapłacić nie zamierzam.

PO ZAMORDOWANIU PRZEZ UBEKÓW KSIĘDZA JERZEGO POPIEŁUSZKI BYŁO OGROMNE ZAPOTRZEBOWANIE NA JEGO KAZANIA.

– Opowie Pan kilka słów o Oficynie, zanim chętny się znajdzie?

J.K.K.: – Trudno w kilku słowach zamknąć to, co wypełniało miejską część mojego życia – okresy od późnej jesieni do wczesnej wiosny – spędzane przez nas w mieście – kiedy to główna moja opozycyjna działalność dotyczyła Oficyny. Wydaliśmy trochę ponad 20 tytułów, w sumie trochę ponad 20 tysięcy egzemplarzy. Jak na kilka lat to mizerny rezultat. Tempo było ślimacze, gdyż stały problem stanowiły zdobywanie kaset i brak kapitału obrotowego. Zmuszeni byliśmy czekać, aż spłyną pieniądze z kolportażu. Często otwierała się okazja na kasety,

eprasa.pl 8bb7115c0b

a my nie mieliśmy pieniędzy albo odwrotnie – one były, ale nie mieliśmy skąd wziąć kaset. Po zamordowaniu przez ubeków księdza Jerzego Popiełuszki było ogromne zapotrzebowanie na jego kazania. To był jedyny raz, gdy wystąpiliśmy o pożyczkę z Funduszu Kultury Niezależnej. Pożyczyliśmy milion, nakręciliśmy pięć tysięcy kaset, zwróciliśmy pieniądze. Teresa Bogucka po otrzymaniu tego zwrotu sprawiała wrażenie osoby miło zaskoczonej takim obrotem wypadków. Pomagał nam także Mirek Chojecki. Wysyłaliśmy mu taśmy matki kolejnych edycji i negatywy okładek. Kasety nagrywane były w jego firmie Kontakt. Choj sprzedawał je spragnionym pamiątek z kraju emigrantom, kasował 10 dol. od sztuki, potrącał połowę na pokrycie kosztów własnych i resztę przesyłał w dolcach. Teraz wydaje się, że dużo tego nie było, ale zważywszy, że pensje w przeliczeniu rzadko przekraczały wówczas 20–30 dolarów, forsa od Choja łatała nam budżet i pozwalała kupować w Peweksie dobrej jakości taśmy, z których Makowscy robili matki. Choj przysłał nam także kilka zachodnich magnetofonów z dobrej jakości dźwiękiem i możliwością przegrywania kaset z opcjonalnie dwukrotnym przyśpieszeniem. Potem jeszcze sami dwa takie egzemplarze dokupiliśmy. Od strony technicznej wyglądało to tak, że po pierwszych próbach korzystania z szybkiej kopiarki (już nie pamiętam skąd; przyjaciele w trakcie mojego pobytu na Białołęce ją zdobyli) ustaliliśmy, że nadaje się ona co najwyżej do jakiegoś ględzenia, ale na pewno nie do piosenek. Kazania księdza Popiełuszki, w trosce o jakość, przegrywaliśmy też wyłącznie na dobrych magnetofonach.

Trwało to długo, ale z rezultatów byliśmy zadowoleni. Powielaczy taśm zwaliśmy „krętaczami”. Byli oni płatni. Szlaki zostały przetarte przez Chojeckiego w Nowej, który odkrył, że bez płacenia drukarzom poważne podziemne wydawnictwo nigdy nie powstanie. Ludzie muszą przecież z czegoś żyć. Autorom płaciliśmy tantiemy, chyba że ktoś, tak jak Jacek Kaczmarski w kraju, z nich zrezygnował. Oficyna przetrwała do końca komuny w zasadzie bezawaryjnie. Raz tylko bezpieka wywęszyła nasze, zakopcowane w pustym mieszkaniu kasety. Głównie czyste, w sumie z tysiąc sztuk. Zrobili kocioł, czekali wewnątrz tydzień, nikt się nie zjawiał. Zaczęło im się nudzić i wyszli pewnie na piwo, bo gdy w pewnym momencie wdepnął tam Sławek, nikogo wewnątrz nie było. Sławek zorientował się, że ktoś grzebał w kasetach i się ulotnił. Tylko kasety przepadły. Takie małe jaczejki, dość hermetyczne, złożone ze starych przyjaciół z dodatkiem rodzin są dla policji politycznej najtrudniejsze do rozpracowania. Chyba że przez kolportaż. W kilku partiach wydaliśmy kolejne edycje moich piosenek. Przyśpiewki internowanych ze Strzebielinka, dwie edycje piosenek Jacka Kaczmarskiego, piosenki Jacka Kleyffa, Stefana Brzozy, Tadeusza Sikory, Antoniny Krzysztoń, Teatr Ósmego Dnia i... jeśli kogoś przegapiłem, to przepraszam, ale... gdy myślę o Oficynie, to nie o nakładach, wydanych pozycjach czy buchalterii. To wszystko zostawiam dla historyka. Myślę tylko o przyjaciołach, z którymi byliśmy wtedy razem. Oni już nie żyją. Nam też już niewiele czasu zostało... i to o nich powinienem przede wszystkim opowiedzieć. O Sławku Bobuli, który

eprasa.pl 8bb7115c0b

– gdy mnie u niego nakryli – był studentem medycyny, a przez ten czas, gdy funkcjonowała Oficyna, zdążył zdobyć dyplom, ukończyć specjalizację i pracować jako diagnosta w Szpitalu Onkologicznym na Wawelskiej. Potem, w tzw. wolnej Polsce, jako szef firmy Altmaster zrobił mi prezent w postaci przełożenia moich piosenek na zapis cyfrowy i wydania ich na płytach CD, co na pewien czas uchroniło te piosenki od totalnego zapomnienia. Sławek powtarzał, że na przykładzie naszej Oficyny nauczył się prowadzić kapitalistyczną firmę, mimo iż działo się to w otoczeniu komunistycznej zgnilizny. I o Jasiu Bartysiu, którego życie strasznie doświadczyło, odbierając mu w wieku sześciu lat zdolność chodzenia. Uboczne skutki szczepionki przeciw chorobie Heinego-Medina w jego przypadku okazały się gorsze niż paraplegia. Prócz nóg niewładne miał także ręce. Chwytny – jeśli można to nazwać chwytnością – pozostał mu jedynie opadający grawitacyjnie kciuk prawej dłoni. Pisał na maszynie, trzymając w zębach gumowy pręt. Do „ręcznego" pisania używał innego, także trzymanego w zębach grafitowego ołówka z gumką. Poruszał się na wózku inwalidzkim, który zwał rydwanem, a na którym bracia albo przyjaciele wnosili go na drugie piętro, bo nie było windy. Miał kochaną mamę, trzech braci, siostrę i bandę przyjaciół. Ukończył prawo, pływał po Mazurach na pychówce z zaburtowym silniczkiem, prowadził kolejno dwie firmy polonijne, kolekcjonował białą broń, samowary i zegary ścienne, grał na wyścigach, palił, klął i upijał się, ale tylko w soboty. Prowadził księgowość Oficyny i zawiadywał częścią kolportażu. Kochał ludzi i ludzie go kochali. Wychował bratanka, który pomagał nam w Oficynie i z którym dotąd nadal się przyjaźnimy. Kiedyś zwierzył mi się, że przerażała go perspektywa aresztowania: „Co bym zrobił, gdyby jakiś skurwysyn zrzucił mnie z rydwanu? Musiałbym pełzać" – powiedział. Od tej pory jeszcze bardziej staraliśmy się go chronić. Zrezygnowaliśmy z odwiedzin bezpośrednio z naszego mieszkania. Mieszkał zbyt blisko, by móc ocenić, czy nie jest się obserwowanym. Oficyna to w moim pamiętaniu głównie oni. Przyjaciele, którzy odeszli. Zasługują na więcej niż na kilka słów zdawkowego napomknienia...

– Różnie można wspominać przeszłość. Władze Radomia otwarcie rocznicowych obchodów Czerwca '76 uświetniły „Potańcówką w stylu PRL-u", na której leciwe ofiary represji mogły się poprzytulać do osiłków przebranych za zomowców. Jak to skomentować?

U.S.-K.: – Najkrótszy komentarz znalazł się pod zdjęciem wiceprezydent Marty Michalskiej-Wilk wdzięczącej się do zomitów [zomowców – przyp. red.] na tle hasła obchodów: „ZACZĘŁO SIĘ W RADOMIU". Jakiś internauta napisał krótko: „I TRWA NADAL". Nic dodać...

J.K.K.: – Wiesz co, Kuba... przepraszam, że przerwałem, ale Pani... jakaś tam Wilk... bo zapomniałem całego nazwiska... ani mnie specjalnie nie zdziwiła, ani nie oburzyła. Nie wiem, czy urodziła się w Radomiu, nie wiem, kim byli jej rodzice, kto uczył ją historii, jaki przekaz o represjach Czerwca do niej w życiu dorosłym dotarł... Broń Boże niczego nie sugeruję, po prostu nic poza tym, że jest aparatczykiem KO, o niej nie wiem. I jako aparatczyk jak w wierszu noblisty: „gromadę błaznów koło siebie mając", wymyśliła imprezę „na pomieszanie dobrego i złego". Spektakl, który od Okrągłego Stołu stale trwa. Raczej niecenzuralnie nazywam go „Pojednanie D*PY z BATEM". Piszcie dużymi literami, żeby lepiej wybrzmiało. Znacznie bardziej godna napiętnowania jest dla mnie niejaka pani Hetman... tym razem imienia zapomniałem – prezes Stowarzyszenia Ofiar Czerwca '76. Postać dość odrażająca. To ona właśnie w imieniu ofiar zaakceptowała scenariusz imprezy, wdzięczyła się do tych ZOMO-przebierańców, później, gdy podniósł się szum, broniła potańcówki jak niepodległości, jeszcze później, po tym, jak szum narastał, z uwagi na stan zdrowia zrezygnowała z prezesowania... ale gremium ofiar uznało, że dla dobra Stowarzyszenia powinna reprezentować je nadal do końca obchodów 50. rocznicy wydarzeń... więc nagle zmieniła ton i zaczęła opowiadać o strasznych represjach, których doznała, próbując wpychać się wszędzie, gdzie ją chciano i gdzie jej nie chciano...

U.S.-K.: – Przestań się nad nią znęcać, Janek. Przecież wiesz, jak to działa. Stowarzyszenie jest w pełni uzależnione od samorządu. Raz na rok mają swoje pięć

PO RAZ TRZECI NASZE ŻYCIOWE ŚCIEŻKI ZDERZYŁY SIĘ Z CZYMŚ, CO WYDARZYŁO SIĘ W RADOMIU I PRZECIW CZEMU PRÓBOWALIŚMY SIĘ AWANTUROWAĆ.

eprasa.pl 8bb7115c0b

minut, wystawia się ich na pokaz jak paprotki, bo co roku obchodzona jest rocznica Czerwca. Poza tym czasem może jakaś wycieczka, lokal od miasta. Trwają tak, łaskawie tolerowani. I tyle mają swobody co AK-owcy w komunistycznym ZBOWiD-zie.

– Minęło pół roku. Kulminację obchodów i okrągłą rocznicę mamy już za sobą. Kto, patrząc z perspektywy czasu, na tym zyskał, a kto stracił?

J.K.K.: – Za krótko, by orzec. Nie wiem, jak Kuba, ale ja czuję się przegrany. Po raz trzeci nasze życiowe ścieżki zderzyły się z czymś, co wydarzyło się w Radomiu i przeciw czemu próbowaliśmy się awanturować. Liczyliśmy z przyjaciółmi na to, że korzystając z naszych kontaktów z Radomiakami, uda nam się nakręcić jakąś sporą akcję protestacyjną. Wywiesić billboardy, zasypać miasto ulotkami, zdjęciami miejskich notablic – pozwolę sobie po raz pierwszy na użycie feminatywu – tulących się do ZOMO-przebierańców. Mieliśmy gotowca: Zdjęcia „ofiar Czerwca" gapiące się na inscenizowane sceny pałowania – całą tą pornografię polityczną opublikowaną jako dokumentacja imprezy. Wszystko na wyciągnięcie ręki. Bez słów, samymi obrazkami, które tamci sporządzili, można było ich kompromitować. Trzeba było tylko grzać temat, póki świeży. Może przygotowałoby to grunt pod referendum, pomogło podważyć wszechwładzę KO choć w jednym mieście? No i co... Para poszła w gwizdek. Takich rzeczy nie da się organizować przez telefon. Gdybym poruszał się na własnych nogach, a nie na wózku... i miał trochę więcej energii, to może coś...

U.S.-K.: – Dla Janka jak zwykle: szklanka jest w połowie pusta. Rozumiem jego reakcje, tym bardziej że od jakiegoś czasu towarzyszy mi przypuszczenie graniczące z pewnością, że nie tylko władze Radomia chętnie urządziłyby w swoich miastach podobne widowiska. Osładzanie obrazu PRL-u, przemilczanie komunistycznych zbrodni, apelowanie, by ofiary pojednały się z oprawcami bez wcześniejszego wyznania win i zadośćuczynienia – wszystko to trwa nieprzerwanie od Okrągłego Stołu czy raczej od fraternizacji z czerwonymi w Magdalence. No i ostatecznie zaowocowało tym groteskowym balem. Zastanawiam się czasem, czy w zamyśle władz nie był on – a raczej reakcja, jaką wywołał – ostatecznym sprawdzianem tego, czy społeczeństwo jest już całkowicie zmanipulowane i można posunąć się jeszcze dalej. Ciekawe, jak oni to oceniają. Dodatkowo uważam, że dobrze się dzieje, gdy pewne słowa tracą w języku codziennym swe emocjonalnie obojętne znaczenia i nagle nabywają nowych, zawierających w sobie cały zbiór naładowanych emocjami znaczeń. Tak jak kiedyś określenie „ścieżki zdrowia" przestało kojarzyć się z rekreacją na świeżym powietrzu i wywoływać zaczęło łańcuch skojarzeń takich jak: Radom – policyjny terror – bicie bezbronnych, tak teraz „bal z ZOMO" służyć będzie jako groteskowy symbol tego, co Janek nazywa pojednaniem tyłka z... Łatwiej się będzie dogadać z tymi, co zaczynają myśleć podobnie.

J.K.K.: – Kuba jest taką optymistką jak mój kolega z gór, o którym krążyła opowieść, że gdy wisiał na asekuracji po odpadnięciu ze ściany, krzyknął do partnera: „Wybiłem sobie oko". A po chwili pocieszył go: „To nic, mam drugie".

STANIE POD WIĘZIENIEM POKAZAŁO MI, ILU JEST WSPANIAŁYCH LUDZI, KTÓRZY NICZEGO NIE CHCĄ, NIE KOMBINUJĄ, ŻEBY BUDOWAĆ NA TYM JAKIEŚ KARIERY. PO PROSTU, GDY SIĘ WK***IĄ, CZUJĄ, ŻE MUSZĄ COŚ ZROBIĆ. I ROBIĄ.

– Mówił Pan o trzech Waszych zetknięciach z Radomiem. Cofając się do prehistorii, drugie to akcja pomocy w '76 roku, a trzecie?

J.K.K.: – Dajmy sobie spokój z numeracją, bo się pogubimy. Licząc wspak, przed balem był protest pod radomskim więzieniem, w którym koalicja pięciu gwiazdek i tysiąca serduszek zapuszkowała Mariusza Kamińskiego. Ja byłem tam właściwie tylko raz, częściej w Przytułach pod Ostrołęką, gdzie siedział drugi głodówkarz – Maciek Wąsik. Kuba ma więcej do opowiedzenia, bo z grupką naszych przyjaciół odstała tam bite dwa tygodnie. Wspomnę jedynie o tym, jak bardzo zaskoczył mnie stosunek lokalnych działaczy PiS do tego zdarzenia. Tak zwanych struktur. Gdybym był taką „strukturą" i w moim mieście pojawiłaby się grupka ludzi, która spontanicznie, bez niczyjego wezwania, skłonna jest stać na mrozie przez dwa tygodnie w proteście przeciw bezprawiu, to pomyślałbym, że z nieba mi spadli. Nagle, bez mojego udziału, narodził się jakiś ruch

eprasa.pl 8bb7115c0b

oddolny. Na tych ludzi trzeba chuchać i dmuchać, przygarnąć, otoczyć opieką, bo jutro mogą być potrzebni do czegoś, czemu sam nie sprostam, nie udźwignę. A tam była nieufność, niechęć. Niemal wrogość.

U.S.-K.: – No nie. Bądź sprawiedliwy. Suski przyzwoicie stał każdego wieczoru. Odstał swoje w tej swojej czapce uszance. Jego również nie wypłoszyły mrozy, zadymki czy śnieg z deszczem.

J.K.K.: – Może i odstał. Ja mówię o tym, co było potem. Raz już zresztą oboje to przerabialiśmy. Na naszym podwórku. Tu, w Szczytnie, ktoś nas poprosił, żebyśmy pomogli zredagować ulotkę przed jakimiś wyborami. Ulotka wydała nam się beznadziejna, napisaliśmy własną. Spotkaliśmy się z lokalnymi działaczami, żeby im ją przekazać. I po chwili odnieśliśmy wrażenie, że „struktury" zrobiły w portki. Natychmiast pewnie zaczęli kombinować, czy ktoś przypadkiem im nie podesłał jakichś podejrzanych ludzi, obgadają ich, gdzieś, naskarżą na nich, że agitki napisać nie potrafią, może wygryźć spróbują... Smród się rozszedł na kilometr.

U.S.-K.: – Daj spokój, przecież wiesz, jak tu jest w tym miasteczku. Uczelnia, która zawsze wychowywała swoich: całe rodziny, dziś nazywa się „policyjna". Stare Kiejkuty obok. Miejscowa celebra...

J.K.K.: – A co to ma wspólnego z Kiejkutami? Przecież to byli działacze PiS-u. Te struktury. Całe szczęście, że stanie pod więzieniem pokazało mi również, ilu jest naprawdę wspaniałych ludzi, którzy niczego nie chcą, nie kombinują, żeby budować na tym jakieś kariery. Po prostu, gdy się wk***ią, czują, że muszą coś zrobić. I robią. Bardzo łatwo obśmiewać, że przyszły babcie z krzyżem, a tam byli... Spotkałem na przykład dwoje starszych ludzi, którzy dzień w dzień przyjeżdżali pod więzienie w Przytułach z Bartoszyc, spod ruskiej granicy, trzema kolejno autobusami, bo nie mieli samochodu. Świetni ludzie. To tak ku pokrzepieniu serc.

– Mają Państwo kontakt z osobami, którym pomagaliście po represjach w 1976 roku?

U.S.-K.: – Nie. Przecież nikt z nas się w Radomiu nie przedstawiał. Pomogliśmy tym ludziom przetrwać te kilka pierwszych najtrudniejszych dla nich miesięcy. Potem była amnestia, aresztowani wrócili do swoich rodzin, pobici jakoś się pozbierali, ktoś znalazł w końcu pracę, ktoś wyjechał, ktoś umarł. Miasto wracało do starej biedy. My po latach też nie pamiętamy ich adresów, nazwisk, twarzy. No... może z małymi wyjątkami. Ja na przykład zapamiętałam personalia i dramatyczną historię chłopca bestialsko pobitego przez milicję... Kilka lat temu skontaktował się ze mną prokurator IPN. Wznowione zostało śledztwo; prosił, żebym złożyła zeznania. Przy okazji opowiedział mi, jak wyglądały rozprawy, w których oskarżał. Cóż z tego, że IPN-owscy prokuratorzy przedstawiali twarde dowody, relacje ofiar i świadków. Winnych z reguły nie udawało się skazać. I oni doskonale o tym wiedzieli. Sprawcy nie przyznawali się do winy, kryli się wzajemnie, mataczyli. Mieli pełne poczucie bezkarności; kpili z ofiar, a nawet im grozili. A obok siedzieli ci, których te bydlaki kiedyś tłukły, a z których teraz mogli wyśmiewać się i szydzić. To była masakra.

– Co to za historia z tym chłopakiem z Radomia?

U.S.-K.: – Nie lubię o tym opowiadać. Pozwólcie, że odgrzebię w necie i przeczytam fragment postu, który zamieściłam na platformie X. Adresowany był do wiceprezydent Michalskiej-Wilk i napisany bezpośrednio po tym, gdy dowiedziałam się o balu z ZOMO: „[...] chłopiec, do którego dotarłam, był bardzo młody, prawie dziecko – cichy i nieśmiały. Nie brał udziału w proteście. Został zatrzymany całkowicie przypadkowo, gdy wracał ze szkoły. Nie bardzo wiedział, co od niego chcą. Nie odpowiadał na pytania. Przykutego do kaloryfera skatowali do tego stopnia, że miesiącami schodziły mu paznokcie ze stóp. Co prawda nie zrywali mu paznokci jak ich poprzednicy ze stalinowskiego UB, tylko celnie tłukli pałkami tam, gdzie najbardziej boli. Dotarłam do niego dopiero po paru miesiącach od tego zdarzenia. Oboje z matką byli kompletnie bezradni i przerażeni. Chłopiec w szoku pourazowym chował się pod łóżko, gdy w ich małym

JANEK DOSTAŁ OD PRZYJACIELA TELEFON Z PRETENSJAMI, ŻEBY COŚ ZROBIŁ, BO W WIKIPEDII ZNAJDUJE SIĘ INFORMACJA, ŻE W CZASIE STANU WOJENNEGO DONALD TUSK BYŁ WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM WYDAWNICTWA CDN.

eprasa.pl 8bb7115c0b

mieszkaniu zjawiał się ktoś obcy. Poranione stopy ropiały, nie chciały się zagoić i były w takim stanie, że konieczna okazała się pomoc specjalisty.
I tu mam kilka pytań do pani wiceprezydent. Czy miałaby Pani dość śmiałości (lub bezczelności), by temu, obecnie już niemłodemu, mężczyźnie zaproponować zrobienie sobie fotki z ZOMO? A może zwróciłaby się Pani z tą propozycją do mnie, wtedy młodej kobiety, której do dzisiaj śni się nocą to, co przeżywała, jeżdżąc do Radomia". Na nas przecież również polowano. Nie mogliśmy posługiwać się zwykłą komunikacją. Najbezpieczniej dojechać dało się szosami, korzystając z tak zwanej okazji. Miasto, dworce obstawione milicją i tajniakami; trudno się było po nich swobodnie poruszać. Każde zatrzymanie mogło się skończyć tak jak w przypadku Mirka Chojeckiego, który został dotkliwie pobity na samym początku akcji pomocy w Radomiu. Baliśmy się, ale przecież nie można było tych skatowanych, bezbronnych ludzi zostawić samym sobie. Strach strachem, ale jeździć było trzeba.

– Czy przypadek tego chłopca to najbardziej dramatyczna historia, z jaką się Pani zetknęła?

U.S.-K.: – W pewnym sensie tak. Choć właściwie… każda ze zlecanych nam spraw to był jakiś dramat. Uwięziony ojciec, matka wyrzucona z pracy, niedożywione dzieci, zimne, niedogrzane mieszkanie. Beznadzieja i strach. Nieustanne wizyty tajniaków, którzy ostrzegali, żeby dać natychmiast znać, jeśli zjawią się u nich ludzie oferujący im jakieś pieniądze. To niemiecki wywiad; chce z nich zrobić szpiegów i zdrajców ojczyzny. Tak nas przedstawiano. Bywało, że z tajniakami mijaliśmy się niemal w drzwiach. Mieliśmy często świadomość, że ci ludzie po prostu się nas boją; stanowimy dla nich zagrożenie, lecz mimo to korzystają z naszej pomocy, bo nie mają wyjścia. My z kolei nie mieliśmy powodu, by ufać bez reszty, że nas nie zdradzą. Trudno było przełamać te lody obopólnej nieufności i często nasze wzajemne relacje nie były zdominowane pozytywnymi emocjami.

BALIŚMY SIĘ, ALE PRZECIEŻ NIE MOŻNA BYŁO TYCH SKATOWANYCH, BEZBRONNYCH LUDZI ZOSTAWIĆ SAMYM SOBIE. STRACH STRACHEM, ALE JEŹDZIĆ BYŁO TRZEBA.

– Byliście Państwo zapraszani do Radomia w rocznice wydarzeń Czerwca '76?

J.K.K.: – No nie. Z jakiego tytułu mielibyśmy być zapraszani? W czerwcowym proteście nie braliśmy udziału. A w akcji pomocy… byliśmy tylko jak dwa trybiki w całej tej maszynerii. Jedni zbierali pieniądze, inni jeździli jako obserwatorzy procesów; nie wiemy, ilu takich jak my emisariuszy jeździło do Radomia. O Ursusie to w ogóle nic nie wiemy. Nam zwykle przypada coś tam powiedzieć o Radomiu z powodu „Szosy E-7". Sami do tablicy się nie wyrywamy, bo to czasem wręcz głupio gadać o swoim jeżdżeniu, kiedy się wie, że na przykład Konrad Bieliński jeździł tyle samo co my, Kleyff jeździł… Każdy z nich ma swoją opowieść.

U.S.-K.: – Zosię i Zbyszka chyba zapraszano. Choć nie wiem, nie pytałam. W Radomiu jest ulica Romaszewskiego… A tym „ofiarom Czerwca" coś się w tym roku przypomniało: skołowali skądś namiar na mnie, zadzwonili z pytaniem, czy mogą do nas przyjechać, bo chcą nas na samo gęste tych obchodów zaprosić. Sprawdziłam, że to ludzie, którzy bawili się świetnie na potańcówce z zomowcami, i powiedziałam im, że każdego gościa, który przyjeżdża taki szmat drogi, zwykle zapraszam na filiżankę herbaty i pogadanie, ale nie ręczę za to, jak zachowa się Janek, bo on bywa nieobliczalny. Więcej nie dzwonili.

J.K.K.: – Ten czerwcowy protest był w pełni spontaniczny, nie było żadnej organizacji, przywódców, motywów innych niż ekonomiczne. To był odruch bezwarunkowy, samoobrona przed zepchnięciem w nędzę. Skuteczny, gdyż komuniści wycofali się z podwyżek. Brutalne represje, które potem nastąpiły, były równie spontaniczne, przypadkowe i nieprzemyślane jak sam bunt. Miały za zadanie spacyfikować, napiętnować Radom jako miasto warchołów, odstraszyć od naśladownictwa. Kolejny odruch bezwarunkowy – tym razem w obronie monopolu komunistycznego wszech panowania. Czy skuteczny? Częściowo tak. Lokalnie wszystko poszło zgodnie z planem. Miasto zostało całkowicie spacyfikowane. Ludzie sparaliżowani strachem, bezsilni, niezdolni do jakichkolwiek form oporu czy choćby świadczenia sobie wzajemnej samopomocy. Komuchy nie przewidziały jedynie tego, że represje – nie bunt – tylko represje, które po nim nastąpiły, wywołają gdzieś daleko od Radomia lawinę działań,

eprasa.pl 8bb7115c0b

które doprowadzą w efekcie do implozji realsocjalizmu w wydaniu PRL. W tym sensie slogan „Zaczęło się w Radomiu” nie ma większego sensu. Zaczęło się zupełnie gdzie indziej.

U.S.-K.: – Myślę, że Stowarzyszeniu Ofiar Czerwca 76, którego cele statutowe są takie – pozwolicie, że zacytuję – „Udzielanie wszechstronnej pomocy (prawnej, materialnej, duchowej itp.) osobom biorącym udział w wydarzeniach czerwca 76 oraz ich rodzinom; Jak również pielęgnowanie pamięci historycznej o tamtych wydarzeniach ze szczególnym naciskiem przekazywania prawdy o tamtych dniach młodemu pokoleniu polaków” (pisownia oryginalna), niespecjalnie potrzebne są osoby, które robiły z grubsza to samo, tylko trochę wcześniej. Jest też coś, co nie najlepiej świadczy o nas, ludziach. Taka nasza ludzka przywara... Często unikamy tych, którzy pomogli nam w biedzie. Oni nam jakoś, mimo woli, samą swą obecnością przypominają czas, gdy byliśmy bezradni i sami nie mogliśmy sobie w życiu poradzić.

– Naprawdę w Radomiu nie powstały żadne formy samoobrony po represjach? Jakaś opozycja?

J.K.K.: – Do czasów Solidarności o niczym takim nie słyszałem. A i Solidarność Ziemi Radomskiej, ta od Sobieraja, też zawiązała się relatywnie późno... chyba dopiero w połowie października ’80 roku.

U.S.-K.: – Janek Lityński próbował zorganizować jakąś komórkę oporu złożoną z ofiar czy może członków rodzin represjonowanych. Potem okazało się, że do tej jego czteroosobowej jaczejki bezpieka wkleiła trzech TW. Zgodnie z pragmatyką służbową nic jeden o drugim nie wiedział i nawzajem pisali na siebie donosy.

J.K.K.: – Naprawdę tam była pełna bezradność. Szybko zorientowaliśmy się, że o tym, że jesteśmy z jakiegoś KOR-u, często nie warto wspominać, bo o jego istnieniu mogli wiedzieć tylko ci, którzy słuchali Wolnej Europy. Lepiej było przedstawiać się jakoś ogólnikowo: „Wiecie, jacyś ludzie w Warszawie dowiedzieli się, że tu was prześladują, zebrali pieniądze dla was...”. Na samym końcu nie wiem, co oni o nas myśleli, co z tego wszystkiego do nich dotarło. Zapamiętałem moment, gdy wychodziłem z jakiegoś mieszkania. W ciasnym przedpokoju zastąpił mi drogę stary człowiek i cicho, by nie usłyszeli go inni domownicy, szepnął: „Wy jesteście od « Szarego »”.

DO TEJ CZTEROOSOBOWEJ JACZEJKI BEZPIEKA WKLEIŁA TRZECH TW. ZGODNIE Z PRAGMATYKĄ SŁUŻBOWĄ NIC JEDEN O DRUGIM NIE WIEDZIAŁ I NAWZAJEM PISALI NA SIEBIE DONOSY.

– Podporucznik „Szary” – prawdziwe nazwisko Hada. Legendarny dowódca AK, potem WiN, który przeprowadził akcję odbicia więźniów z ubeckiego aresztu w Kielcach w 1946 roku.

J.K.K.: – No właśnie. Z „Szarym” na życiorys bym się chętnie zamienił. Na pierwsze cztery cyfry numeru PESEL... raczej nie.

U.S.-K.: – Nie potrafię dokładnie przytoczyć słów pana Andrzeja Poczobuta, ale sens był chyba taki: „Człowiek nie wybiera czasu, w którym przyszło mu żyć, ale to, jak ten czas przeżyje, zależy od niego”.

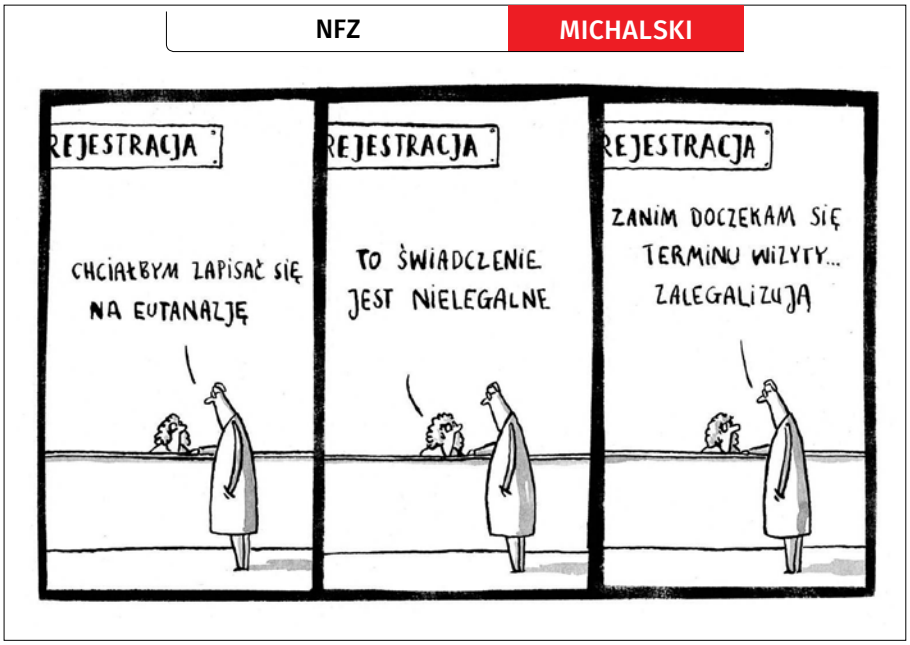

eprasa.pl 8bb7115c0b

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Gdy Władimir Putin stawał na czele Rosji, dla wielu na Zachodzie był politykiem niemal nieznanym. W rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność” były rosyjski dysydent Władimir Bukowski już wtedy przekonywał, że jego dojście do władzy oznacza umocnienie wpływów dawnego KGB i dalszy rozwój imperialnej polityki Kremla. Dziś, z perspektywy ponad ćwierćwiecza, ta diagnoza wybrzmiewa wyjątkowo mocno. Z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność” przypominamy wywiad opublikowany w **nr. 2 (591) 14 stycznia 2000 roku**.

Rządzi KGB

Antoni Zambrowski (Tygodnik Solidarność): – Jak pan ocenia zmianę na stanowisku prezydenta Rosji?

Władimir Bukowski (były dysydent rosyjski, pisarz):
– Moim zdaniem wielkich zmian to nie przyniesie. Oczywiście, Putin będzie nieco bardziej energiczny od Jelcyna, ale polityka pozostanie ta sama. Przez ostatnie lata Jelcyn nie decydował sam o sprawach politycznych. Czyniło to jego otoczenie, które nadal będzie określało politykę Rosji. Putin kojarzy się z KGB, ale KGB zaczął decydować o polityce Rosji na przełomie lat 1993–1994, zaś teraz mamy tego kulminację.

– A zatem nie wiąże pan tego z dojściem Jewgienija Primakowa do władzy?

– To było jeszcze wcześniej. Zwycięstwo tych sił nastąpiło w drugiej połowie 1993 roku, kiedy Borys Jelcyn jako prezydent musiał ostrzeliwać siedzibę Rady Najwyższej Rosji, czyli ówczesnego parlamentu w Białym Domu. By to osiągnąć, musiał on zyskać poparcie tzw. struktur siłowych. Pozostałe siły polityczne już go opuściły, więc by zachować władzę, uzyskał poparcie struktur siłowych. W ten sposób KGB oraz wojsko przejęły władzę w Rosji. Ponieważ sprawami wewnętrznymi wojsko mniej się interesuje, to o nich zaczął decydować KGB. Dlatego tylu premierów Rosji wywodzi się z tej właśnie instytucji. Objęcie władzy przez Władimira Putina stanowi logiczne ukoronowanie rozwoju naszej rachitycznej demokracji, zrodzonej w roku 1991.

– Sądzę, że Putin jest bardziej inteligentny od Jelcyna.

– To nie ma znaczenia, gdyż decyzje polityczne podejmował nie sam Jelcyn, lecz jego sztab, czyli otoczenie. On sam już mało co reprezentował. Negatywną stroną ostatnich wydarzeń jest to, że społeczeństwo rosyjskie skonsolidowało się wokół hasła wojny z Czeczenią oraz wokół władzy sprawowanej przez KGB, który prowadzi wojny i w ogóle prowadzi państwo ku swoim celom. Nastąpiła więc konsolidacja społeczna, ale na złej platformie.

– W Polsce prof. Jadwiga Staniszkis poddała krytyce oceny prof. Zbigniewa Brzezińskiego, który stwierdził dominację KGB w Rosji. Ona twierdzi, że do władzy doszli generałowie z Ministerstwa Obrony. Czy to istotna różnica?

– Nie sądzę, by wojskowi mieli większe wpływy niż KGB. Rzecz w tym, że wojskowi w Rosji to czynnik niezbyt aktywny w sprawach wewnętrznych. Rosyjskich wojskowych najbardziej interesuje odpowiedni udział wydatków militarnych w budżecie państwa. I to właśnie osiągnęli, bo będą mieli odpowiednie środki na wojsko i przemysł zbrojeniowy. Do niczego innego nasi generałowie nie pretendują. Nie są oni w Rosji czynnikiem politycznym. Siłą polityczną w Rosji jest KGB i on oczywiście będzie odgrywał swą rolę.

– Opowiadano u nas pogłoskę z Kremla, że prezydent Borys Jelcyn chciał w ostatniej chwili zamienić premiera Putina na zwycięskiego przywódcę bloku wyborczego „Jedinstwo” ministra Siergieja Szojgu. Na to wojskowi zgłosili swe weto i Jelcyn musiał Putina pozostawić u steru.

– Jest to plotka. Przecież my nie wiemy, co się naprawdę dzieje na Kremlu, zwłaszcza za kulisami. Nie mamy dowodów na to, że ta pogłoska odzwierciedla prawdę. Może to być zwykła dezinformacja albo spekulacje dziennikarskie.

eprasa.pl 8bb7115c0b

ROSJA

Artyści i polityka

z WŁADIMIREM BUKOWSKIM, mieszkającym w Anglii byłym dysydentem rosyjskim, rozmawia ANTONI ZAMBROWSKI

Rządzi KGB

KRYSTIAN BRODACKI

– A czy odejście Borysa Jelcyna wynikało ze spisku pałacowego, czy też było decyzją dobrowolną?

– Sądzę, że jest to jego dobrowolna decyzja. Już od kilku lat Borys Jelcyn poszukiwał możliwości bezpiecznego wycofania się z obecnej sytuacji. Był w położeniu jeźdźca cwałującego na tygrysie. Jazda była niebezpieczna, ale zejście z grzbietu tygrysa jeszcze bardziej. Jedynym rozwiązaniem było znalezienie następcy, który zapewniłby mu amnestię przy ustąpieniu.

– Ale redaktorka „Russkoj Mysli" Irina Iłowajska-Alberti twierdzi, że był to pałacowy zamach stanu.

– W żadnym przypadku. Nie mamy co do tego żadnych przesłanek. Nikt go do niczego nie przymuszał. Od dawna było wiadomo, że szuka wyjścia z sytuacji. O tym, że jego czas przeminął i powinien już odejść, wiedział doskonale. Odejść bez gwarancji bezpieczeństwa dla siebie i rodziny nie mógł, gdyż byłby to dla niego ruch samobójczy. Miał zbyt wielu wrogów politycznych, którzy nie godzili się na spokojne zejście Jelcyna ze sceny. Oni chcieliby posadzić go na ławie oskarżonych, osądzić, być może nawet powiesić dla przykładu. Jego córka Tatiana Djaczenko jest zamieszana w malwersacje finansowe. Pozostawała więc kwestia do rozwiązania: jak wycofać się bezpiecznie i zachować ten sam kurs polityczny nawy państwowej. W osobie Władimira Putina zawarł on porozumienie z KGB, że te warunki zostaną spełnione, jeśli wyznaczy kogoś z ich grona. W ten sposób otrzymał pełną amnestię, zachowanie przywilejów, gwarancje od represji wobec siebie i rodziny. To jest właśnie droga do zejścia z grzbietu tygrysa. Dlatego taka sytuacja go w zupełności zadowala. Tym bardziej że Putin nie wprowadzi żadnych zmian politycznych.

– Czy wyniki wyborów do Dumy Państwowej były uczciwie policzone? Władimir Żyrinowski w „Głosie Ameryki" narzekał, że głosy wyborców były na przydział, jak żywność za komuny.

– Żyrinowski podjął po raz pierwszy ten temat, gdyż stracił wiele głosów wyborczych. Otrzymał zaledwie 8 proc. głosów, gdy dawniej jego klub poselski był jednym z najważniejszych w Dumie. O tym, że wybory w Rosji nie są nazbyt uczciwe, mógł mówić wcześniej, ale wówczas to nie było w jego interesie. Istotnie, elementy manipulacji przy podliczaniu głosów zawsze istnieją podczas wyborów w Rosji. Są to manipulacje znaczne, ale nie na tyle, by całkowicie określać wyniki wyborów. Dlatego dla rządu wybory stanowią pewne ryzyko porażki. W zupełności wyeliminować woli wyborców władza nie może. To nie jest tak, jak za czasów rządów komunistycznych, kiedy według żartu Stalina nieważne było, jak głosują wyborcy, natomiast ważne jest, jak są liczone głosy. Ktoś ze znawców przedmiotu tłumaczył mi, że głosy rzędu 3–4 milionów są przedmiotem manipulacji. Jeśli dwaj kandydaci idą łeb w łeb, to te zmanipulowane głosy mogą zaważyć na szali.

Natomiast w przypadku olbrzymiej przewagi jednego z kandydatów te głosy zadecydować już nie są w stanie. W chwili obecnej społeczeństwo rosyjskie skonsolidowało się politycznie, ale niestety, wokół programu imperialnego: wokół programu krwawej i bezsensownej wojny w Czeczenii oraz wokół ubeckiego kierownictwa, tradycyjnie rozwiązującego sprawy społeczne przy pomocy represji. I to znalazło swój wyraz w wyborach do Dumy Państwowej. Tak zwany blok wyborczy „Jedinstwo" nie miał przecież ani programu, ani członków w terenie, ani ogólnokrajowej organizacji wyborczej. Osiągnął taki sam wynik wyborczy, jak komuniści, którzy od dawna mają organizację w skali całego kraju. Niestety, potwierdza to moją ocenę sytuacji: społeczeństwo skonsolidowało się wokół władzy sprawowanej przez ludzi KGB.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Meble na eksport, PRACOWNICY NA BRUK

Sektor leśno-drzewny, odpowiadający za **10 procent produkcji przemysłowej** i dający zatrudnienie przeszło 423 tys. pracowników, mierzy się z najpoważniejszym kryzysem od lat. Szczególnie mocno odczuwa go branża meblarska, z której w ciągu czterech lat zniknęło około 29 tys. miejsc pracy. Zwolnienia obejmują pracowników IKEA Industry Poland, Black Red White, ZORKA, Steinpol czy Grupy Meblowej Szynaka.

Marcin Krzeszowiec

Dekoniunktura w branży drzewnej i meblarskiej zauważalna jest od czterech lat. Widzą to firmy w swoich rozliczeniach finansowych, a także pracownicy, którym wręczane są wypowiedzenia z pracy.

Według danych firmy doradczej B+R Studio od 2022 roku sektor stracił około 45 tysięcy miejsc pracy – w przemyśle drzewnym zniknęło 16 tys., a w meblarskim około 29 tys. etatów.

Z upływem czasu coraz więcej firm stało się nierentownymi:

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fot. Adobe Stock

w zeszłym roku było to 89 dużych i średnich firm z branży drzewnej (32,5 proc.), 107 meblarskich (27,2 proc.) i 50 papierniczych (20,3 proc.).

Pogarszającą się sytuację w branży leśno-drzewnej odzwierciedlają także rosnące zobowiązania finansowe sięgające już 352 mln zł. Z raportu przygotowanego przez Krajowy Rejestr Długów wynika, że długi polskiej branży meblarskiej wynoszą ponad 135 milionów złotych, a firm drzewnych nieco ponad 216 mln zł.

– Widzimy, że zarówno w branży meblarskiej, jak i drzewnej w ciągu ostatniego roku wyraźnie pogorszył się profil płatniczy firm. Ubyło przedsiębiorstw z najwyższą wiarygodnością, a przybyło tych, z którymi współpraca może być ryzykowna. W meblarstwie poza najwyższą strefą wiarygodności płatniczej znajduje się już 26 proc. podmiotów, podczas gdy rok wcześniej było to 14 proc.; z kolei w branży drzewnej ten odsetek wynosi 21 proc. wobec 13 proc. rok wcześniej. Zatem mniej więcej co czwarta firma meblarska wymaga dziś większej ostrożności przy sprzedaży z odroczonym terminem zapłaty, a w branży drzewnej co piąta – wskazał Adam Łącki, prezes Zarządu Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej.

DO KOŃCA KWIETNIA ZAMKNIĘTA ZOSTANIE FABRYKA MEBLI TAPICEROWANYCH STEINPOL W DOLNOŚLĄSKIM WOŁOWIE, KTÓRA ZATRUDNIAŁA 110 PRACOWNIKÓW.

Skąd ten kryzys?

Produkcja sprzedana mebli w Polsce spada czwarty rok z rzędu. Powodów takiego stanu rzeczy jest kilka. Kryzys w branży spowodowany jest zarówno mniejszą liczbą zamówień zza granicy, rosnącymi cenami surowca drzewnego, ograniczeniem podaży drewna, wysokimi cenami prądu, jak i azjatycką konkurencją, w której siła robocza jest znacznie tańsza.

To szczególnie zła wiadomość dla naszego kraju, który jest jednym z największych eksporterów mebli na świecie – od 2018 roku zajmujemy trzecie miejsce po Chinach i Niemczech. Produkowane w Polsce meble trafiają w miażdżącej większości za granicę – w 80 procentach na rynki Unii Europejskiej. W 2025 roku udało się nam wyeksportować meble o wartości 16,6 mld euro.

Tak silne powiązania z innymi gospodarkami sprawiają, że sektor ten jest bardzo czuły na międzynarodowe perturbacje i zmiany nastrojów konsumentów.

– Sytuacja na europejskim rynku meblarskim od kilku lat pozostaje bardzo wymagająca. Branża funkcjonuje w warunkach utrzymującej się niestabilności geopolitycznej, związanej m.in. ze skutkami wojny na Ukrainie oraz sytuacją na Bliskim Wschodzie. Przekłada się to na wzrost kosztów transportu i surowców, a także wpływa na nastroje konsumenckie, ograniczając popyt na dobra trwałego użytku, w tym meble. Czynniki te mają istotny wpływ na całą branżę, w tym również na Grupę Forte, co znalazło odzwierciedlenie w wynikach Grupy za pierwszy kwartał roku obrotowego 2026/2027 – przekazała nam Anita Zdrojkowska, dyrektorka Biura Komunikacji Korporacyjnej Grupy Forte.

Mniej zamówień z Niemiec

Z punktu widzenia polskiej branży meblarskiej najważniejszy jest rynek niemiecki, na który trafia ponad jedna trzecia naszego eksportu mebli. Obecny spadek zamówień

eprasa.pl 8bb7115c0b

od naszego zachodniego sąsiada jest jedną z głównych przyczyn kryzysu.

Przedsiębiorcy alarmują, że zamówienia z kluczowego rynku niemieckiego skurczyły się w wielu firmach o nawet 50–70 procent.

„Przy malejących zamówieniach firmy są zmuszone do trudnych decyzji: w ciągu ostatnich czterech lat branża meblarska zredukowała około 27 tys. miejsc pracy, co oznacza spadek zatrudnienia o ponad 16 procent ze średniego poziomu 165 tys. pracowników w 2022 roku do około 138 tys. w marcu 2026 roku. Lista zamykanych lub zmniejszających produkcję zakładów rośnie – od małych firm rodzinnych po duże rozpoznawalne marki" – czytamy na stronie Ogólnopolskiej Izby Gospodarczej Producentów Mebli.

Spadek popytu na meble w Niemczech – i tym samym mniej zleceń dla naszych firm – to konsekwencja m.in. wysokiej inflacji z poprzednich lat czy nasycenia tamtejszego rynku. W czasie pandemii ludzie częściej kupowali meble, dlatego dziś wolą przeznaczyć swoje oszczędności na inne potrzeby. Kolejny element jest powiązany z budownictwem mieszkaniowym – słaba dynamika w tym niemieckim sektorze przekłada się na niższy popyt na stoły, krzesła, szafy i inne elementy wyposażenia.

Mniejsza liczba zamówień to również efekt rosnącej konkurencji ze strony Chin, które coraz mocniej zaopatrują naszego zachodniego sąsiada.

Jak podał Polski Fundusz Rozwoju, udział chińskich producentów w niemieckim imporcie mebli wzrósł z 22,8 proc. w 2019 roku do 27,4 proc. w trzecim kwartale 2025 roku, podczas gdy udział Polski utrzymywał się na poziomie ok. 22–23 proc.

Nie lepiej ta sytuacja wygląda na naszym krajowym podwórku. Z analizy PKO Banku Polskiego wynika, że w 2025 roku import mebli z Chin do Polski wzrósł o 11,6 proc., natomiast do UE o 5,1 proc.

Mniejsza liczba zamówień i rosnące koszty zarówno podstawowego surowca, jak i samej działalności nieuchronnie prowadzą do zwolnień, nieprzedłużania umów na czas określony, wydłużania pracownikom urlopów, braku nowych inwestycji i nie dają tym samym pola do podwyżki cen mebli. Nic więc dziwnego, że rentowność ze sprzedaży w produkcji mebli jest na bardzo niskim poziomie. Jak podał Polski Fundusz Rozwoju, w 2025 roku spadła ona do 4,4 proc., co jest porównywalne z rokiem 2012 i 2018, gdy wynosiła 4,5 proc.

ETATY W KILKU MIEJSCACH TNIE IKEA INDUSTRY POLAND. W KWIETNIU 2026 ROKU FIRMA ZAWIADOMIŁA URZĄD, ŻE ZAMIERZA ZWOLNIĆ DO 240 PRACOWNIKÓW W WIELBARKU.

Dostępność i cena surowca

Przedsiębiorcom z branży nie podobają się również działania podejmowane przez polityków. Skarżą się, że średnia cena drewna w latach 2020–2025 wzrosła o ponad 32 proc., a jego podaż staje się coraz mniejsza na skutek decyzji Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Za przykład podają wprowadzenie moratorium na pozyskiwanie drewna z 8 stycznia 2024 roku, wyznaczanie obszarów tzw. starolasów, lasów społecznych, rezerwatów, wdrażanie programu Zielona Tarcza Wschód czy modyfikację metod użytkowania lasu.

„Oficjalne plany sprzedaży Lasów Państwowych zostały zredukowane z poziomu ponad 40,2 mln m^3 w 2024 roku do zaledwie 37,2 mln m^3 w roku 2026. Łącznie w ciągu zaledwie dwóch lat urzędowania nowego kierownictwa resortu planowana podaż surowca dla polskiego przemysłu została drastycznie obcięta o 3 mln m^3. Zapewnienia MKiŚ o «stabilizacji» i bezpieczeństwie surowcowym są rażąco sprzeczne z faktami i dokumentami planistycznymi samych Lasów Państwowych" – wskazała Koalicja na Rzecz Polskiego Drewna w swoim wpisie na Facebooku, bazując na danych B+R Studio.

Firmy tną zatrudnienie

Od liczb przejdźmy teraz do faktów – i to tych najbardziej bolesnych dla ludzi.

W zeszłym roku Black Red White zgłosiło zamiar przeprowadzenia zwolnień grupowych nawet 800 z prawie 2700 osób zatrudnionych w całej grupie kapitałowej. Redukcję etatów zaplanowano na okres od listopada 2025 roku do grudnia 2026 roku. Wcześniej, w styczniu 2025 roku, firma poinformowała, że zwolni 220 pracowników fabryki w Przeworsku na Podkarpaciu i wygasi tamtejszą produkcję stołów i krzeseł. Natomiast w tym roku Black Red White zlikwidowało zakład w Zamościu.

Cięcia zatrudnienia musiała przeprowadzić też polska firma ZORKA, która dostarcza meble dla sieci IKEA. W związku ze spadkiem

eprasa.pl 8bb7115c0b

Co musisz wiedzieć?

Od 2022 roku sektor stracił około 45 tysięcy miejsc pracy – w przemyśle drzewnym zniknęło 16 tys., a w meblarskim około 29 tys. etatów.

Z punktu widzenia polskiej branży meblarskiej najważniejszy jest rynek niemiecki, na który trafia ponad jedna trzecia naszego eksportu mebli.

Spadek popytu na meble w Niemczech – i tym samym mniej zleceń dla naszych firm – to konsekwencja m.in. wysokiej inflacji z poprzednich lat czy nasycenia tamtejszego rynku.

Przedsiębiorcy skarżą się, że średnia cena drewna w latach 2020–2025 wzrosła o ponad 32 proc.

zamówień od szwedzkiego klienta jeleniogórski zakład rozpoczął w styczniu 2026 roku proces zwolnień grupowych 233 pracowników. Mniejsza liczba zamówień spowodowała, że w 2025 roku ZORKA zanotowała spadek przychodów aż o 43 proc. w stosunku do poprzedniego roku.

Pogarszająca się sytuacja na rynku meblarskim była także przyczyną zwolnień w spółce Classic Sofa w Lidzbarku należącej do Grupy Szynaka Meble. Pod koniec kwietnia br. do Powiatowego Urzędu Pracy w Działdowie wpłynęło zgłoszenie zamiaru przeprowadzenia zwolnień grupowych 46 pracowników. W maju pracodawca zwiększył tę liczbę do 76 osób.

Kilka miesięcy temu poinformowano również, że do końca kwietnia zamknięta zostanie fabryka mebli tapicerowanych Steinpol w dolnośląskim Wołowie, która zatrudniała 110 pracowników.

Jakby tego było mało, etaty w kilku miejscach tnie IKEA Industry Poland. W kwietniu 2026 roku firma zawiadomiła urząd, że zamierza zwolnić do 240 pracowników w Wielbarku (woj. warmińsko-mazurskie). Do końca roku mają potrwać również zwolnienia grupowe 160 pracowników – ponad jednej trzeciej załogi – w zakładzie w Goleniowie (woj. zachodniopomorskie). Z kolei w maju IKEA Industry Poland zawiadomiła PUP o zamiarze zwolnienia 125 osób z zakładu w Lubawie – główny powód redukcji to spadek liczby zamówień.

Na koniec jeszcze jeden przykład z ostatnich miesięcy. Polski producent mebli Grupa Forte postanowiła wygasić produkcję mebli skrzyniowych w Hajnówce. Zmiany mają dotknąć około 200 zatrudnionych. Firma zapewniła, że każdy z nich będzie mógł kontynuować pracę w ramach Grupy Forte – w szczególności w spółce Specific w Białymstoku, gdzie produkowane są meble tapicerowane. Dla pracowników oznacza to jednak około 3 godziny dojazdu do pracy w obie strony. Pytanie więc, ile osób z tego skorzysta, a ile postanowi odejść sama.

Grupa Forte podkreśliła, że te zmiany nie oznaczają zwolnień, a pracownicy otrzymają konkretne wsparcie: „Zapewniamy szkolenia umożliwiające zdobycie nowych kwalifikacji i umiejętności, bezpłatny transport między Hajnówką a Białymstokiem oraz rekompensatę za część czasu dojazdu – poinformował w kwietniu Zarząd firmy. Zaznaczono też, że w zakładzie w Hajnówce nadal będą prowadzone produkcja elementów PVC i pakowanie okuć oraz że zostanie tam przeniesiony proces pakowania okuć z fabryki mebli tapicerowanych.

W ocenie Koalicji na Rzecz Polskiego Drewna, aby dopomóc branży, rządzący powinni po pierwsze wstrzymać kolejne decyzje, które mogłyby ograniczyć dostępność drewna, a po drugie zwiększyć jego podaż do co najmniej 41 mln m^3 w 2027 roku. Jeżeli Lasy Państwowe nie byłyby w stanie pokryć tego zapotrzebowania, przedsiębiorcy apelują o mechanizm kompensacji, w tym wsparcie importu surowca zza granicy.

POLSKI PRODUCENT MEBLI GRUPA FORTE POSTANOWIŁA WYGASIĆ PRODUKCJĘ MEBLI SKRZYNIOWYCH W HAJNÓWCE. ZMIANY MAJĄ DOTKNĄĆ OKOŁO 200 ZATRUDNIONYCH.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Proj. K. Karnkowski

Liberalni foliarze.
Gdy reptilian zastępują PiS-owcy

Foliarstwo nie posiada barw politycznych. Choć w powszechnym odbiorze kojarzy się głównie z prawicą i jej opowieściami o szczepionkowej depopulacji, globalnych elitach czy tajnych planach Nowego Porządku Świata, sam mechanizm myślenia jest znacznie bardziej **uniwersalny**.

Ludwik Pęzioł

Środowiska liberalne od lat przedstawiają się jako przeciwwaga dla „irracjonalnej prawicy". To one miały reprezentować oświeceniowe ideały: naukę, rozum i przywiązanie do faktów, podczas gdy ich przeciwnicy mieli poruszać się w świecie mitów, pseudonauki i spisków. Wystarczy jednak trochę lepiej przyjrzeć się środowisku liberałów, aby dostrzec, że wiara w ukryte złowieszcze siły rządzące światem nie jest zarezerwowana dla jednej strony ideowego sporu.

Witamy w uniwersum

Mapa liberalnego foliarstwa w Polsce jest rozległa i obejmuje zarówno polityków, ludzi mediów, influencerów, jak i osoby związane niegdyś ze służbami. Łączy ich podobny zestaw poglądów politycznych i – co ciekawsze – podobny sposób interpretowania rzeczywistości. Dla nich polityka rzadko bywa wynikiem konfliktu interesów,

eprasa.pl 8bb7115c0b

nieudolności czy – broń Boże – przypadku. Znacznie częściej staje się elementem większego planu, w którym ktoś zza kulis pociąga za wszystkie sznurki.

Jedną z centralnych postaci tego środowiska jest Roman Giertych. To przy nim wyrosły całe zastępy tropicieli kolejnych „afer", ukrytych powiązań i tajnych operacji. Orbitują wokół niego rozmaite konta społecznościowe – od zwykłych hejterskich profili po rozbudowane kanały komentatorskie. Nie chodzi przy tym o sam poziom ich politycznego fanatyzmu. Fanatyk nie musi być przecież foliarzem. Foliarstwo zaczyna się dopiero tam, gdzie pojawia się przekonanie, że za „oficjalną" rzeczywistością zawsze musi kryć się jakaś ukryta siła.

W przypadku liberalnych mediów nestorem foliowego dziennikarstwa pozostaje redaktor Tomasz Piątek, którego działalność przez lata opierała się na słynnym „rysowaniu strzałek", czyli tropieniu mniej lub bardziej prawdopodobnych powiązań politycznych, biznesowych i wywiadowczych. Dziś został jednak wyprzedzony przez młodszych, zdolniejszych i bardziej radykalnych. Wśród najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli tego środowiska dziś znajduje się „wielka trójca": Eliza Michalik, Tomasz Wiejski i Jan Piński. Choć nie są obecni w największych instytucjonalnych mediach, dzięki własnym kanałom komunikacji zbudowali liczne audytoria, a wręcz całe wspierające się społeczności.

Osobną kategorię stanowią samozwańczy eksperci odwołujący się do swojej przeszłości w służbach lub przekonujący, że posiadają szczególną wiedzę o funkcjonowaniu państwa – jak Tomasz Szwejgiert czy pułkownik Piotr Wroński. Jest też cała galeria internetowych osobliwości pokroju Aleksandry Sarny – psycholog występującej przed kamerą w zmysłowych nocnych koszulach i jednej z głównych popularyzatorek teorii o „geju Kaczyńskim".

PiS ciągle rządzi

Typowym elementem foliarskiego myślenia jest przekonanie, że „oficjalna rzeczywistość" stanowi jedynie starannie przygotowane przedstawienie. Politycy, których oglądamy w telewizji, są wyłącznie aktorami odgrywającymi przypisane im role, podczas gdy reżyser znajduje się poza polem widzenia niewtajemniczonego obserwatora. W klasycznych teoriach spiskowych za kulisami stoją żydzi, masoni, globaliści, elity czy (w bardziej „odlotowych" wersjach) reptilianie i Anunnaki. W krajowej, liberalnej wersji tej opowieści rolę wszechpotężnego ośrodka sterowania odgrywa Prawo i Sprawiedliwość – nawet wtedy gdy formalnie znajduje się w opozycji.

> Nie można więc rozliczać Donalda Tuska ze słabych rządów, ponieważ rzeczywista władza **nie leży** w jego rękach.

Według tej narracji osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy wystarczyło do zbudowania tajnego (w innych wariantach: równoległego, podziemnego) państwa – sieci wpływów tak głębokiej, że przetrwała zmianę władzy. Jeśli więc „siły demokratyczne" nie potrafią zrealizować swoich obietnic, nie jest to efekt własnej nieudolności czy lenistwa. Odpowiedź jest mniej oczywista: PiS nadal kontroluje państwo. Nie można więc rozliczać Donalda Tuska ze słabych rządów, ponieważ rzeczywista władza nie leży w jego rękach. Jednak z braku likwidacji „tajnego państwa PiS", które jest właśnie tym ukrytym ośrodkiem, jak najbardziej.

Skąd wiemy jednak o jego istnieniu? Dowodem mają być między innymi informacje pojawiające się w prawicowych mediach. Skoro Telewizja Republika albo inne nieprzychylne rządowi redakcje publikują materiały niewygodne dla gabinetu Donalda Tuska, nie mogą one – według foliowej logiki – pochodzić ze zwykłej pracy dziennikarskiej. Muszą być przeciekami ze służb, a skoro służby „przeciekają", oznacza to, że nadal pozostają pod kontrolą PiS.

W ten sam sposób tłumaczy się fakt, że część polityków PiS wciąż funkcjonuje w życiu publicznym, a instytucje państwowe nie zostały natychmiast podporządkowane nowej większości. Skoro przeciwnik nie został definitywnie wytrzebiony, to znaczy, że nadal dysponuje ukrytą władzą. Może ona wynikać z obecności „pisowskich" urzędników, ale również z postawy tych, którzy formalnie należą do „obozu demokratycznego". Dlaczego jednak mieliby oni sabotować własny rząd? Odpowiedź jest prosta: ponieważ PiS zgromadziło na nich kompromitujące materiały za pomocą tzw. Pegasusa i teraz skutecznie ich szantażuje.

W tej opowieści jednym z głównych podejrzanych stał się Tomasz Siemoniak. Jako minister spraw wewnętrznych i administracji był wielokrotnie krytykowany za brak dostatecznie radykalnych zmian w służbach, co tłumaczono teorią, że jest on zakładnikiem układu PiS. Podobne oskarżenie spotyka (niewystarczająco krwawego) prokuratora krajowego Dariusza Korneluka, którego część komentatorów zaczęła przedstawiać jako kolejnego „ukrytego PiS-owca".

Najciekawsze są jednak polityczne konsekwencje takiego sposobu myślenia. Skoro PiS nie jest zwyczajną partią opozycyjną, lecz elementem rosyjskiej wojny hybrydowej przeciwko Polsce, zwykłe reguły demokratycznej gry

eprasa.pl 8bb7115c0b

przestają obowiązywać – konstatuje Tomasz Wiejski, by później zasugerować, że Donald Tusk powinien rozważyć wprowadzenie stanu wyjątkowego, aby siłowo wymienić kadry w służbach specjalnych i środowisku prawniczym – nawet kosztem ograniczenia swobód obywatelskich.

Krety i agenci

Na kolejną cechę liberalno-foliowego światopoglądu składa się obsesja na punkcie zdrady i agentury. W uniwersum konspiracjonistów najgorszy nie jest bowiem otwarty przeciwnik. Groźniejszy jest ten, kto pozostaje niewidoczny, a najgroźniejszy – ten, kto udaje sojusznika: wróg w przebraniu, człowiek podstawiony, agent wpływu.

Etatowym „PiS-owskim kretem" w publicystyce Elizy Michalik pozostaje Szymon Hołownia (zaraz za nim: Adam Bodnar i Władysław Kosiniak-Kamysz). Nie jest on przedstawiany jako polityk prowadzący własną grę czy popełniający błędy. Każda jego decyzja ma świadczyć o realizacji ukrytego planu. Gdy apeluje o przestrzeganie procedur – chroni PiS. Gdy opóźniają się rozliczenia – daje czas Jarosławowi Kaczyńskiemu. Gdy łagodzi polityczny konflikt – świadomie ratuje poprzednią władzę. Nawet jego chwilowe wycofanie z życia publicznego i problemy zdrowotne zostały zinterpretowane jako element operacji wizerunkowej mającej uwiarygodnić go przed kolejnym etapem realizacji „misji". W podobny sposób kwestionowano chorobę Zbigniewa Ziobry (ochrzczoną przez Pińskiego „ziobrotworem").

Podobny schemat dotyczy pojęcia „symetrysty". W normalnym świecie jest to ktoś, kto sprzeciwia się tzw. dziennikarstwu tożsamościowemu i stara się rozdawać „razy" po równo każdej ze stron. Jednak w świecie liberalno-foliarskim symetrysta jako współczesny Judasz staje się postacią nawet gorszą od zadeklarowanego PiS-owca. To człowiek, który doskonale wie, że PiS „niszczy Polskę", a mimo to nie walczy z nim z odpowiednią zaciekłością. Skoro więc nie zachowuje się tak, jak powinien – przekonuje Eliza Michalik – musi mieć w tym interes. Albo został kupiony, albo liczy na przyszłe korzyści, albo po prostu wykonuje czyjeś polecenia.

W tej logice podejrzane stają się również niemal wszystkie media. Kanał Zero nie jest po prostu projektem realizującym swoje cele biznesowe, lecz elementem większej operacji politycznej, przy którego założeniu „kręcili się" ludzie służb (teza Jana Pińskiego). Podobnie TVN – przez lata uznawany za sztandarową telewizję liberalnego establishmentu – zostaje okrzyknięty „telewizją prawicową, tylko w trochę lepszych garniturach". Na tym jednak lista się nie kończy. W zależności od bieżących potrzeb do grona podejrzanych trafiają również Wirtualna Polska, Goniec czy konkretni dziennikarze, tacy jak Patryk Słowik czy Szymon Jadczak, a nawet Bartłomiej Węglarczyk. Warunek jest jeden: jeśli publikacja nie potwierdza oczekiwanej przez uniwersum konspiracjonistów narracji, to najwidoczniej jej autor pracuje dla przeciwnika.

> Liberalne foliarstwo potrafi wywierać **realny** wpływ na politykę.

Czasem poszukiwanie zdrajców idzie jeszcze dalej. Po wyborze Mariusza Haładyja na prezesa Najwyższej Izby Kontroli w felietonie Elizy Michalik pojawiły się sugestie, że skoro kandydat uzyskał poparcie również części osób spoza obozu rządzącego, w zmowie z PiS pozostaje również Koalicja Obywatelska. Innymi słowy: wrogiem jest każdy, kto znajduje się poza wąskim kręgiem foliowej libko-sfery.

Foliarz zawsze wygrywa

Choć na pierwszy rzut oka liberalne foliarstwo wydaje się zaledwie politologiczną ciekawostką, praktyka pokazuje, że w sprzyjających okolicznościach potrafi wywierać realny wpływ na politykę. Tym bardziej że jego przedstawiciele nie należą do bezwarunkowego elektoratu Donalda Tuska. Popierają obecną władzę tylko tak długo, jak długo wierzą, że bezwzględnie rozprawia się z PiS-em.

To właśnie dlatego temu środowisku trzeba co jakiś czas zapłacić odpowiednią „daninę". Głośne zatrzymanie, spektakularne postawienie zarzutów czy nominacja osoby cieszącej się jego zaufaniem pozwalają na pewien czas rozładować narastającą frustrację. W ten sposób liberalni foliarze stają się swoistym lodołamaczem obecnej władzy – przesuwają granice radykalizmu i wywierają presję na rząd, by ten posuwał się coraz dalej.

Jednak, jak uczy doświadczenie, mechanizm, który napędza takie środowiska, często obraca się przeciwko nim samym. Skoro wszędzie można dostrzec agentów i zdrajców, prędzej czy później zaczną oni pojawiać się również we własnych szeregach. I tak historia ruchów opartych na teoriach spiskowych pokazuje, że podejrzenia z czasem nieuchronnie obejmują własnych liderów, co prowadzi do mniej lub bardziej zabawnych schizm. Dzisiaj „kretem" jest Hołownia, jutro może zostać nim Giertych, Piński albo każdy, kto przestaje nadążać za rozpędzonym radykalizmem. Kwestią czasu wydaje się więc podział środowiska.

Lecz nawet jeśli rozpadnie się środowisko, idea nie umrze. Skoro każde wydarzenie potwierdza foliarską teorię, a każdy dowód przeciwny staje się dowodem na skuteczność spisku, foliarz zawsze wygrywa.

eprasa.pl 8bb7115c0b

XXXV FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU

Forum Polsko-Chińskie miejscem kluczowych dyskusji o gospodarce, geopolityce i suwerenności

Konrad Wernicki

Zbliża się nadchodzące Forum Ekonomiczne w Karpaczu, którego partnerem po raz kolejny jest Fundacja Promocji Solidarności. Jedną z najważniejszych i najbardziej wzbudzających emocje ścieżek tematycznych tegorocznej edycji będzie Forum Polsko-Chińskie. W dobie globalnych napięć, destabilizacji łańcuchów dostaw oraz rosnącej rywalizacji mocarstw dyskusja o relacjach gospodarczych z Pekinem staje się kluczowym testem dla polskiej suwerenności przemysłowej i gospodarczej.

Globalne przetasowania i polski interes narodowy

Nadchodzące XXXV Forum Ekonomiczne w Karpaczu po raz kolejny stanie się centrum kluczowych debat dotyczących przyszłości geopolitycznej i gospodarczej Europy Środkowo-Wschodniej. Wśród licznych paneli szczególne miejsce zajmie Forum Polsko-Chińskie zaplanowane na 9 września 2026 roku w Hotelu Gołębiewski. Wydarzenie organizowane przez Instytut Studiów Wschodnich przy współpracy z Polsko-Chińską Izbą Gospodarczą oraz wsparciu dyplomatycznym, jakim wykazuje się Ambasada Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce, ma skupić się na bilansie i perspektywach relacji handlowych oraz technologicznych.

Przemysł, technologia i pułapki zależności

Tematyka zaplanowanych paneli dotyka najbardziej wrażliwych punktów współczesnej architektury gospodarczej. Eksperci i praktycy przeanalizują potencjał inwestycyjny i technologiczny Chin w kontekście Europy Środkowo-Wschodniej, szukając odpowiedzi na pytanie o realny bilans korzyści dla polskiego biznesu. Istotnym elementem rozmów będzie również przyszłość Inicjatywy Pasa i Szlaku, która od lat budzi duże emocje w kontekście infrastruktury transportowej i logistycznej.

Nie da się przy tym uciec od kontekstu, który tworzy geopolityczna rywalizacja pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Azją. Strategiczny sojusz z USA pozostaje dla Polski absolutnym filarem bezpieczeństwa wojskowego i politycznego, co wymaga od polskiej dyplomacji niezwykłej precyzji przy układaniu relacji gospodarczych z Pekinem. Osobnym, kluczowym zagadnieniem będzie rozwój sztucznej inteligencji oraz zaawansowanych technologii, które w opinii wielu ekspertów bezwzględnie zadecydują o konkurencyjności gospodarek w najbliższych dekadach.

Dla Polski kluczowe pozostaje zachowanie pełnej podmiotowości. Rozmowy o współpracy technologicznej czy handlowej nie mogą prowadzić do uzależnienia wrażliwych sektorów naszej gospodarki od zewnętrznych dostawców. Zamiast ulegać ideologicznym naciskom czy bezkrytycznie otwierać rynek, państwo powinno wspierać polski przemysł, dbać o równe warunki konkurencji oraz stwarzać przestrzeń, w której rodzimy kapitał tworzy stabilne i godnie opłacane miejsca pracy.

Bezpośrednie relacje i pragmatyczna dyplomacja

Integralną częścią wydarzenia w Karpaczu będzie spotkanie networkingowe poświęcone bezpośrednim rozmowom z przedstawicielami azjatyckiego biznesu, w którym zapowiedziano udział ambasadora ChRL w Polsce Lu Shana. Tego typu rozmowy kuluarowe stanowią okazję do konfrontacji oczekiwań i weryfikacji faktycznych intencji inwestorów.

Więcej informacji na stronie: www.forum-ekonomiczne.pl.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Rozwój Plus Matysiak?

Fot. Dawid Majewski

– Optymalną strategią byłoby uwzględnienie w programie partii Rozwój Plus elementów polityki solidarnościowej. To ogromna szansa dla nowego ugrupowania, aby zaproponować własną, świeżą opowieść łączącą modernizacyjny rozwój z solidaryzmem społecznym – mówi **Paulina Matysiak** w rozmowie z **Markiem Nowakiem**.

– Na początek najgorętsze polityczne pytanie tego lata: czy planuje Pani wstąpić do Rozwoju Plus?

– Na dzisiaj nie ma takich planów ani żadnych rozmów na ten temat. Oczywiście przyglądam się rozwojowi wydarzeń – temu, w którą stronę pójdzie przyszła formacja i jak się ostatecznie dookreśli. Tak wygląda sytuacja na teraz, na początku sierpnia. Nadal jestem posłanką niezrzeszoną. Posłanką z Kutna. Skupiam się głównie na sprawach transportowych, z którymi zgłasza się do mnie mnóstwo osób. A co wydarzy się w najbliższych tygodniach, w przyszłym roku czy przy okazji wyborów parlamentarnych? Tego po prostu jeszcze nie wiem. Na pewno, gdy tylko sytuacja się wyklaruje i podejmę jakieś decyzje, będę o tym otwarcie informować.

– Mateusz Morawiecki ogłosił, że jego stowarzyszenie przekształci się w nową partię polityczną. Jak ocenia Pani szanse takiego ugrupowania?

– Myślę, że zależy to w dużym stopniu od tego, jak ten powstający podmiot zdefiniuje samego siebie na scenie politycznej. Tego na dzisiaj nie wiemy. Nie sądzę też, aby niedawny polityczny grill był w tej kwestii jakkolwiek rozstrzygający. Warto pamiętać, że tamto wydarzenie planowano dużo wcześniej. W zamyśle organizatorów miało być po pro-

eprasa.pl 8bb7115c0b

stu miejscem dyskusji i ścierania się rozmaitych poglądów na bardzo różne tematy. Teraz jednak jesteśmy w zupełnie nowej rzeczywistości politycznej. Twórcy tego ugrupowania muszą precyzyjnie określić swoją tożsamość. Z jednej strony nie mogą wejść w zbyt głęboką i totalną kontrę do Prawa i Sprawiedliwości. Mówimy przecież o politykach, którzy w środowisku, z którego wyrosło PiS, spędzili kilkanaście czy kilkadziesiąt lat i tam odnosili swoje największe sukcesy. Dla wielu z nich była to jedyna formacja w dorosłym życiu. Trudno oczekiwać od nich nagłej, radykalnej wolty – z perspektywy wyborców byłoby to całkowicie niewiarygodne, a nawet absurdalne. Z drugiej strony potrzebne jest wyraźne zaznaczenie odrębności. Nowa partia nie może budować swojej opowieści wyłącznie na komunikacie: „Odcinamy się od grupy z Suwerennej Polski, która dotąd nadawała partii radykalny ton". Tu potrzebna jest zupełnie nowa opowieść, za którą muszą pójść konkretne, autorskie propozycje programowe, które ją uwiarygodnią i osadzą w konkretnym kontekście. Pewne zręby tej opowieści zarysowano już podczas wspomnianego spotkania. Rozmawiano o rozwoju, o tym, na jakich wskaźnikach bazować i jak weryfikować, czy kraj faktycznie idzie do przodu. To kluczowe sprawy dla premiera Morawieckiego. Co jednak ostatecznie zostanie włożone do tego programowego koszyka? Tego na razie nikt nie wie. Na ten moment jest to formacja, na którą każdy może projektować własne oczekiwania i wyobrażenia o tym, co powinno się w niej znaleźć.

– W tym sensie jest klasycznym socjologicznym „pustym znaczącym".

– Dokładnie. Moim zdaniem ten stan trzeba będzie w którymś momencie przeciąć i wybrać jeden konkretny kierunek. Wydaje się, że optymalną strategią byłoby uwzględnienie w programie elementów polityki solidarnościowej. To ogromna szansa dla nowego ugrupowania, aby zaproponować własną, świeżą opowieść łączącą modernizacyjny rozwój z solidaryzmem społecznym. Czy jednak ostatecznie tak się stanie? Czas pokaże.

CHCIAŁABYM, ABY POLITYKA STAŁA SIĘ NUDNA – SKUPIONA NIE NA EMOCJACH, ALE NA ROBOCIE I FAKTACH.

NA TEN MOMENT ROZWÓJ PLUS JEST FORMACJĄ, NA KTÓRĄ KAŻDY MOŻE PROJEKTOWAĆ WŁASNE OCZEKIWANIA I WYOBRAŻENIA O TYM, CO POWINNO SIĘ W NIEJ ZNALEŹĆ.

– Powołanie stowarzyszenia Rozwój Plus, które stało się bezpośrednią przyczyną rozłamu w Prawie i Sprawiedliwości. To wydarzenie możemy interpretować na różne sposoby. Dla jednych to po prostu efekt personalnego konfliktu o władzę między Mateuszem Morawieckim a Jarosławem Kaczyńskim. Inni widzą w tym element zmiany pokoleniowej. Dla jeszcze innych to pokłosie sporu głębszego, bo ideowego – o kształt i przyszłość polskiej prawicy. Jaka jest Pani interpretacja?

– Moja interpretacja jest taka, że od samego początku nakładają się na siebie dwa spory: o władzę oraz o kierunek narracyjny, jaki PiS obiera w trwającej już prekampanii. Środowisko skupione wokół stowarzyszenia Rozwój Plus od pewnego czasu mocno sygnalizowało, że nie podoba mu się radykalizacja przekazu. Symbolem tego ostrego kursu stało się ogłoszenie Przemysława Czarnka oficjalnym kandydatem PiS-u na premiera. Ludzie związani z Mateuszem Morawieckim chcieli stworzyć przeciwwagę – to „drugie płuco" czy „drugie skrzydło" partii, jak sami to określają. Chodziło o zrównoważenie partyjnego przekazu i wyjście z ofertą do wyborców centrowych, a nie tylko do twardego, radykalnego elektoratu. Moim zdaniem stawka tego sporu pozostaje niezmienna: to walka o to, kto będzie miał większy wpływ na język prawicy, do kogo ta formacja będzie mówić i jakimi priorytetami będzie się kierować.

– Porozmawiajmy chwilę o polskiej scenie politycznej. W jej analizie łatwo można trafić na dwie przeciwstawne interpretacje, z którymi chciałbym

eprasa.pl 8bb7115c0b

Panią skonfrontować. Jedna głosi, że przestrzeń naszej debaty kurczy się i robi coraz bardziej autorytarna. Przykładem tego zjawiska ma być los takich osób jak Pani – osób, które w swojej działalności próbowały wychodzić poza polityczne etykietki i plemienne nawalanki, za co zostały wysłane na polityczne obrzeża. Można tu snuć analogię z PiS-em, które do niedawna było wielonurtowe, a teraz zaostrza kurs i wypycha mniej radykalne skrzydło. Według drugiej interpretacji znajdujemy się w przededniu zmierzchu polaryzacji i całkowitej przebudowy sceny politycznej – i jest to proces, którego żaden z obecnych hegemonów nie będzie w stanie zatrzymać. Która analiza jest Pani bliższa?

– Dzisiaj bardzo trudno to prorokować. Na pewno rozłam w PiS-ie i pojawienie się partii Rozwój Plus, która prawdopodobnie stanie się trzecią największą siłą w parlamencie, tworzy zupełnie nową rzeczywistość polityczną. Myślę, że te zmiany są wyzwaniem przede wszystkim dla Koalicji Obywatelskiej. Partia rządząca musi zdecydować, jak pozycjonować się wobec nowych formacji. Na razie próbuje te wydarzenia bagatelizować, o czym świadczą wypowiedzi wiceminister Katarzyny Lubnauer o „dwóch PiS-ach". Jednak gdy oba prawicowe bloki zaczną się krystalizować ideowo i coraz wyraźniej od siebie różnić, KO będzie musiała wobec tych różnic jakoś zareagować. Hasło „osiem gwiazdek" i pozbawiony merytorycznej treści antypisizm już raczej nie wystarczą – potrzebne będzie coś znacznie więcej. Kiedy po drugiej stronie sceny politycznej pojawia się więcej podmiotów – grupa premiera Morawieckiego, która wyszła z Prawa i Sprawiedliwości, oraz obie Konfederacje – funkcjonowanie partii rządzącej w jej obecnym paradygmacie staje się o wiele trudniejsze. Ciekawe, czy z tamtej strony pojawi się jakaś nowa oferta. Prawo i Sprawiedliwość w swojej radykalizacji paradoksalnie zaczęło przypominać Koalicję Obywatelską sprzed lat. Ten radykalizm zaczął przybierać postać specyficznego ruchu. Trudno to nawet nazwać spójnym poglądem; to raczej nurt skrajnego antytuskizmu. Część prawicowych mediów idzie dziś bardzo mocno w przedziwne, internetowe formaty, generuje z wykorzystaniem sztucznej inteligencji filmiki z premierem Donaldem Tuskiem w roli głównej – krótko mówiąc, trwa tam jazda bez trzymanki. Moim zdaniem niewiele z tego konstruktywnego wynika dla debaty publicznej.

PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ W SWOJEJ RADYKALIZACJI PARADOKSALNIE ZACZĘŁO PRZYPOMINAĆ KOALICJĘ OBYWATELSKĄ SPRZED LAT.

– Chciałbym zapytać o wrażenia po słynnym i bardzo „wywrotowym" politycznym grillu. Była Pani uczestniczką panelu, który Michał Tomasik z „Polityki" określił mianem „panelu nazywanego lewicowym". Jak ocenia Pani zarówno samą dyskusję, jak i całe wydarzenie?

– Wydarzenie oceniam jako duży sukces frekwencyjny i organizacyjny, zwłaszcza że był to debiut Stowarzyszenia Rozwój Plus w organizacji tego rodzaju spotkań. Przewinęło się tam mnóstwo osób o różnej proweniencji, różnych poglądach i różnej przeszłości zawodowej. Nie ma co się wyzłośliwiać, że był to „tak zwany" lewicowy panel – dyskusja faktycznie dotyczyła lewicowej perspektywy na polityki publiczne. Czasu było oczywiście mało, bo zaledwie godzina, ale cieszy mnie, że taki panel w ogóle się tam pojawił. W kuluarach słyszałam głosy, że była to jedna z najciekawszych debat tego dnia. Pewnie dlatego, że nasze konkluzje i wypowiedzi nie były dla

ROZŁAM W PiS I POJAWIENIE SIĘ PARTII ROZWÓJ PLUS, KTÓRA PRAWDOPODOBNIE STANIE SIĘ TRZECIĄ NAJWIĘKSZĄ SIŁĄ W PARLAMENCIE, TWORZY ZUPEŁNIE NOWĄ RZECZYWISTOŚĆ POLITYCZNĄ.

eprasa.pl 8bb7115c0b

słuchaczy oczywiste. Dla wielu osób oznaczało to wyjście poza własną bańkę. To tylko pokazuje, że warto uczestniczyć w takich spotkaniach i przedstawiać swój punkt widzenia na ważne sprawy.

– Redaktor Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej" i „Newsweeka" napisał, że Wasz panel był mało interesujący, bo prowadzący nie pokierował dyskusji w stronę pytania, czym alt-lewicowa wizja rozwoju różni się od prawicowości w wydaniu Mateusza Morawieckiego, a w czym się z nią pokrywa. Choć to ciekawe zagadnienie, mnie bardziej interesuje inna kwestia: czy Pani zdaniem alt-left w ogóle istnieje jako zjawisko polityczne, czy to jedynie czysto publicystyczna koncepcja?

– Myślę, że to bardzo uproszczona wizja świata, która pomaga niektórym komentatorom opisywać rzeczywistość bez próby jej zrozumienia. Kiedyś, w jakimś wywiadzie, zapytano mnie o to i ze śmiechem odpowiedziałam: „Mnie trzeba zaliczyć do real-leftu". Interesuje mnie rzeczywistość. Mam wrażenie, że dzisiaj te etykietki nadaje się zazwyczaj po to, żeby kogoś obrazić lub zaszufladkować, a nie po to, żeby cokolwiek wyjaśnić, zrozumieć czy opisać. Zgadzam się jednak, że pytania o kierunek rozwoju Polski są zasadne, bo od odpowiedzi na nie bardzo dużo zależy. Im więcej takich dyskusji – nieważne, czy rozmawia o tym lewica, prawica, czy mityczne centrum – tym lepiej, bo pozwala to wyznaczać zręby i ramy tego rozwoju. W paru kwestiach mamy zresztą poczucie, że istnieją inicjatywy, które mocno się w ten rozwój wpisują. Przykładem jest sprawa projektu CPK, która poruszyła opinię publiczną, zaktywizowała mnóstwo osób i na przełomie lat 2023 i 2024 wywołała ogromne emocje społeczne. Przełożyło się to na pozytywne efekty: projekt przynajmniej formalnie nie został wyrzucony do kosza i udało się zebrać podpisy pod obywatelskim projektem ustawy. Warto przypomnieć, że wokół CPK nie ma kłótni między wyborcami Prawa i Sprawiedliwości, Lewicy czy Polski 2050. Mamy już pewien konsensus, że ten projekt trzeba realizować, bo jako kraj po prostu na nim skorzystamy. Moje doświadczenia ze zbiórki podpisów pokazują, że na listach podpisywały się różne osoby: członkowie PSL-u, działacze Platformy Obywatelskiej, wyborcy prawicy i zwolennicy lewicy. Przekrój społeczny był ogromny, ten temat autentycznie zarezonował wśród ludzi. Rzetelna debata przyniosłaby wielkie korzyści przy podejmowaniu strategicznych decyzji politycznych. Na wspomnianym panelu, gdy padło pytanie o rozwiązania, jakich życzylibyśmy sobie od kolejnego rządu, wskazałam na konieczność całkowitego zlikwidowania problemu wykluczenia transportowego. Drugą równie istotną kwestią jest polityka przemysłowa. Jako kraj nie posiadamy spójnej strategii w tym zakresie. Powinniśmy wiedzieć, w jakie sektory chcemy inwestować oraz jakie firmy i podmioty są kluczowe z perspektywy bezpieczeństwa państwa oraz konkretnych regionów. Bardzo bym chciała, aby takich merytorycznych dyskusji było więcej. Często powtarzam, że chciałabym, aby polityka stała się nudna – skupiona nie na emocjach, ale na pracy i faktach. To życzenie trudne do zrealizowania, biorąc pod uwagę, jak wygląda dzisiejsza scena polityczna.

Paulina Matysiak – posłanka na Sejm IX i X kadencji, przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds. Walki z Wykluczeniem Transportowym, członkini sejmowej Komisji Infrastruktury oraz publicystka zajmująca się tematami transportowymi.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 8bb7115c0b

KARUZELA Z BLOGERAMI

SEAMAN

SEPARACJA BEZ ORZEKANIA O WINIE

Mogę występować w roli wyborczego kombatanta PiS, ponieważ głosuję na partię Jarosława Kaczyńskiego ponad 20 lat, w życiu wyborcy to całe wieki. Zatem obserwowałem wszystkie przewagi, ale także grzechy i zaniechania; odchylenia prawicowe i lewicowe; zdrajców i rewizjonistów; odejścia i powroty. Dużo tego było, nie narzekałem na brak emocji, nabawiłem się nadciśnienia, pozbyłem się złudzeń.

Zarzuty dla premiera Mateusza Morawieckiego ze strony „starego" PiS niekiedy są śmieszne, inne straszne, a merytorycznym jest sam fakt rozłamu. Do najśmieszniejszych zaliczę zarzut, że odejście jego grupy było zaplanowane wcześniej i dobrze przygotowane. Jednak skoro tak dobrze sobie poradzili, należałoby raczej docenić ich sprawność. Fatalnie by to świadczyło o stanie umysłów w partii, gdyby po stracie 40 posłów przyjęli z satysfakcją ich niepowodzenie.

Zarzut spowodowania rozłamu „akurat teraz" jest nieco śmieszny, bo wyraża bezradność. W każdym czasie można znaleźć powody do zachowania jedności, która zawsze jest wartością, ale nie unieważnia wartości własnych przekonań. Przewrotnym przykładem pożytku z rozłamu jest obecny premier, który dawno temu „rozłamał" Unię Wolności, czym zgrzeszył straszliwie przeciwko śp. Bronisławowi Geremkowi oraz „Gazecie Wyborczej", a dzisiaj jest przez to środowisko wielbiony jako Drogi Przywódca i Słońce Unii Europejskiej.

Nie jest poważnym grzechem przypisywane Morawieckiemu jedynowładztwo, ponieważ wodzowski styl przywództwa jest w każdej partii, która liczy się na polskiej scenie politycznej i dotyczy również PiS. Choć prezes Jarosław Kaczyński nie może się równać z Donaldem Tuskiem, którego zamordyzm i napady wściekłości są już przysłowiowe. Kto uczestniczył w zebraniu jakiejkolwiek partii w III RP i słuchał postulatów wyrażanych przez tzw. doły partyjne, ten w duchu dziękował Opatrzności, że na czele stoi ktoś, kto może te krwawe brednie zdusić w zarodku.

Do strasznych należy zarzut zdrady obozu prawicy, po prawdzie częściej zdradzanej niż jednoczonej. Jeśli bowiem nazwiemy zdrajcami Morawieckiego i jego kolegów, to jak nazwać Ziobrę, Bielana, Kowala, Gowina, Kamińskiego, Kurskiego, Sikorskiego, Giertycha czy Poncyliusza i wielu innych? Wieszaliśmy psy na tych rzekomych judaszach, a potem witaliśmy niektórych ponownie i naprędce majstrowaliśmy dla ich zdrady szlachetne intencje.

Jest coś na rzeczy w barwnym określeniu na strategię PiS: panaceum na spadki poparcia jest walenie głową w mur, a brak powodzenia wynika ze zbyt krótkiego rozbiegu. Rozłamowcy nie godzą się zatem na wyścigi z Grzegorzem Braunem w antyukraińskiej furii ani ze Sławomirem Mentzenem na prawicowość. Samo PiS zaniedbało narrację ambitną i – nomen omen – prorozwojową, która w przeszłości generowała wyborcze sukcesy. To jest dla mnie przypadek z kart Sekretnego Pamiętnika Prezesa.

Mimo wszystko kończę optymistycznie, bo jak napisał klasyk: jeśli zwalniają, to znaczy, że będą przyjmować. Zatem skoro się dzielą, to pewnie będą się łączyć. Dla PiS to analogia uzasadniona, były precedensy. Nawet wrogie sondażownie prorokują, że dojdzie do zjednoczenia obu rozstających się stron. Dlatego Rozwój Plus nie powinien palić mostów, a PiS insynuować zdrady. Separacja, ale bez orzekania o winie...

eprasa.pl 8bb7115c0b

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Idź krokiem niepewnym

Jan Wróbel

Jedną ze zmian, które wprowadziła wszechobecność internetu, jest seryjne podawanie w wątpliwość faktów, które przed chwilą były Nowymi, Pewnymi Ustaleniami. Przyjętymi w miejsce jeszcze tych poprzednich, krótko – nowych i krótko – pewnych. Czytam np. że: „Przekonanie, że każdy powinien codziennie pokonywać 10 tysięcy kroków, to popularny mit". Owszem, popularny. Nawet mogę wskazać palcem, kto go upowszechnił – aplikacje spod znaku „Bij się o zdrowie" (mam nadzieję, że naprawdę taka aplikacja nie istnieje i nie powędruję za kraty za szydzenie).

„Okazuje się" – to, nawiasem mówiąc, typowe dla internetowej formy prowadzenie narracji. Okazać się może wszystko. Że książka źle znosi zostawianie jej na deszczu. Że koty nie machają ogonem, kiedy są zadowolone. Że herbata, kiedy ją posłodzić, ma inny smak niż gorzka. I tak dalej. Zajmująca lektura.

Zatem okazuje się, że – jak podaje BBC – 10 tysięcy kroków to popularny mit. Ruch – przynajmniej na razie – jest zalecany, ale jakby ktoś miał problem z osiągnięciem „nierealnych założeń", to może odetchnąć z ulgą. Dycha nie dała się wychodzić? Przecież, ha, ha, ha, to chyba jasne, że natura nie wyposażyła nas w licznik kroków akurat tak wymierzony, by równo się liczyło. Z niezmąconym spokojem portale podają natomiast nową, pewną informację (?) na temat minut koniecznej „aktywności aerobowej". Jak umiarkowana, to 150 minut. Jak nieumiarkowana, to 75 minut. Na szczęście tygodniowo. Organizm sobie wszystko policzy, tylko trzymajmy się równych liczb rekomendowanych przez WHO.

7 tysięcy kroków to – twierdzą brytyjscy naukowcy, inaczej niż ci amerykańscy – i tak będzie prozdrowotny przełom. Na przykład ryzyko depresji zmniejsza się o 22%. Ciekawe, jak wyliczono tak konkretną liczbę. Kazano jednym podatnym na depresję (w równym stopniu, bo inaczej wynik byłby zafałszowany!) chodzić 7 tysięcy kroków dziennie, a innym siedzieć w domu? Gdyby tak było, to wszystko jasne. Kto się zgodzi siedzieć w domu, jak nie ten, który ma początki depresji...

Heca z 10 tysiącami kroków ma być podobno pochodną nazwy „Licznik 10 tysięcy kroków" – japońskiego krokomierza wypuszczonego na rynek jako nowinka w 1964 roku. Być może. Prawdziwa jednak heca polega na tym, że renomowany ośrodek badawczy we współpracy ze znaną na cały świat BBC tak formatuje informację, abyśmy mieli z niej pożytek, tworząc portale internetowe i media społecznościowe. Oto jest jakiś „mit", oto jest jakieś „okazuje się" i, ofkors, jakieś badanie. I hula.

Zupełnie niedawno rozprawiliśmy się z mitem zawartości żelaza w szpinaku. Zdrowotności cytryn. Opijania się wodą – „codzienne picie 3 litrów wody to mit, bo przecież ludzie mają różne potrzeby"; naprawdę? A po drodze z przekonaniem, że pomaganie Ukrainie w wojnie z Rosją to moralna powinność Polaka.

RENOMOWANY OŚRODEK BADAWCZY WE WSPÓŁPRACY Z BBC TAK FORMATUJE INFORMACJĘ, ABYŚMY MIELI Z NIEJ POŻYTEK, TWORZĄC KOMUNIKATY INTERNETOWE.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Amerykański sen drożeje. Biały Dom chce 100 TYSIĘCY DOLARÓW za „zieloną kartę”

Fot. Daniel Heuer / Reuters

Administracja Donalda Trumpa rozważa wprowadzenie obowiązkowej kaucji w wysokości 100 tys. dolarów dla osób ubiegających się o stały pobyt w USA poprzez „zieloną kartę”. Według władz rozwiązanie ma potwierdzać zdolność finansową potencjalnych imigrantów i ograniczyć ryzyko obciążania systemu świadczeń publicznych. Propozycja wpisuje się w szersze zaostrzenie polityki migracyjnej, budzi jednak wątpliwości prawne. W przeszłości sądy federalne blokowały podobne inicjatywy, uznając, że amerykańska władza wykonawcza **przekracza swoje kompetencje** w zakresie regulowania opłat imigracyjnych.

Tomasz Winiarski

eprasa.pl 8bb7115c0b

Przez bardzo długi czas Stany Zjednoczone były postrzegane jako kraj, który przyciągał miliony imigrantów z całego świata. Dla wielu osób Ameryka pozostawała symbolem nowych możliwości, wyższych zarobków oraz szansy na rozpoczęcie życia od nowa. Wraz z rozwojem amerykańskiej gospodarki rosło również zapotrzebowanie na pracowników z zagranicy. Sami Amerykanie chełpili się, że w ich kraju, zbudowanym przez imigrantów, nawet konserwatywni politycy wskazywali, że imigracja wzmacnia Stany Zjednoczone.

Jednocześnie krajowy system imigracyjny stopniowo stawał się coraz bardziej rozbudowany, a uzyskanie prawa stałego pobytu wymagało spełnienia licznych warunków przewidzianych w prawie.

Choć procedura ubiegania się o prawo do stałego pobytu w USA, czyli „zieloną kartę", będącą Świętym Graalem każdego imigranta do tego kraju, od dawna uchodzi za skomplikowaną i czasochłonną, administracja prezydenta Donalda Trumpa chce ten proces jeszcze bardziej utrudnić.

Biały Dom rozważa rozwiązania, które mogłyby znacząco zmienić sposób ubiegania się o prawo stałego pobytu. Jednym z analizowanych pomysłów jest wprowadzenie obowiązkowej, choć zwrotnej, kaucji w wysokości 100 tysięcy dolarów dla osób składających wniosek o „zieloną kartę".

Zwolennicy takiego mechanizmu przekonują, że państwo powinno premiować osoby dysponujące odpowiednim zapleczem finansowym, natomiast przeciwnicy wskazują, że tak wysoka kaucja mogłaby stać się barierą praktycznie nie do pokonania dla zdecydowanej większości kandydatów. Dodatkowo pojawiają się pytania o zgodność proponowanych zmian z obowiązującym prawem federalnym oraz zakresem kompetencji władzy wykonawczej.

Zmiana goni zmianę

Informacja o planach wprowadzenia kaucji obiegła Amerykę w połowie lipca.

– Departament analizuje możliwość wykorzystania od dawna istniejących uprawnień wynikających z Ustawy o Imigracji i Obywatelstwie (Immigration and Nationality Act), aby zobowiązać niektórych wnioskodawców ubiegających się o prawo stałego pobytu – tych, którzy w przeciwnym razie nie kwalifikowaliby się do jego otrzymania ze względu na prawdopodobieństwo uznania ich za osoby mogące stać się obciążeniem dla systemu świadczeń publicznych – do wpłacenia kaucji jako sposobu wykazania, że dysponują środkami finansowymi niezbędnymi do samodzielnego utrzymania się – powiedział Tommy Pigott, rzecznik Departamentu Stanu, w rozmowie z portalem The Hill.

Rzecznik oświadczył również, że w tej kwestii została nawiązana współpraca między poszczególnymi resortami amerykańskiego gabinetu, a także stwierdził, że powodem wprowadzenia zmian jest chęć zaostrzenia przepisów imigracyjnych.

Pomimo zwrotnego charakteru kaucji jej wysokość jest dla wielu osób z całego świata sumą niemalże zaporową i w tym można doszukiwać się faktycznych zamiarów administracji Donalda Trumpa – chęci odstraszenia od imigracji do USA sporej liczby osób i próby przyciągnięcia za ocean ludzi o zasobnych portfelach, którzy mogliby na przykład dokonywać tam inwestycji na większą skalę.

– Ściśle współpracujemy z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS), aby wprowadzić rozsądne i skuteczne procedury służące egzekwowaniu prawa Stanów Zjednoczonych, przywróceniu integralności naszego systemu imigracyjnego oraz ochronie amerykańskich programów świadczeń publicznych przed obciążeniami finansowymi wynikającymi z przyjazdu cudzoziemców wymagających kosztownej opieki medycznej lub innego rodzaju wsparcia – oświadczył Tommy Pigott w rozmowie z The Hill.

W ostatnich miesiącach Biały Dom koncentrował się także na innych zagadnieniach związanych z prawem imigracyjnym, jak ograniczenie nielegalnej imigracji, zwiększenie skali deportacji oraz uszczelnienie systemu kontroli granic.

Niedawno politycy Partii Republikańskiej przedstawili projekt zmian mających utrudnić przyjazdy do Stanów Zjednoczonych, których głównym celem jest urodzenie dziecka na terytorium USA

W OSTATNICH MIESIĄCACH BIAŁY DOM KONCENTROWAŁ SIĘ NA OGRANICZENIU NIELEGALNEJ IMIGRACJI, ZWIĘKSZENIU SKALI DEPORTACJI ORAZ USZCZELNIENIU SYSTEMU KONTROLI GRANIC.

eprasa.pl 8bb7115c0b

w celu skorzystania z przepisów umożliwiających nabycie przez dziecko obywatelstwa amerykańskiego poprzez tzw. prawo ziemi.

Pod koniec czerwca Sąd Najwyższy USA zablokował próbę ograniczenia stosowania zasady „prawa ziemi", uznając za niekonstytucyjny dekret wydany w tej sprawie przez Donalda Trumpa w zeszłym roku. Biały Dom uzasadniał jego wprowadzenie tymi samymi względami, jak w przypadku stutysięcznej opłaty za samą możliwość ubiegania się o „zieloną kartę".

– Obywatelstwo – zarówno dawniej, jak i dziś – oznaczało prawo do posiadania praw, czyli możliwość swobodnego uczestnictwa w życiu wspólnoty politycznej. Dziś dotrzymujemy tej obietnicy – w taki sposób uzasadniał wyrok w tej sprawie John Roberts, prezes Sądu Najwyższego USA.

Niedawno Komisja Sądownictwa Izby Reprezentantów zatwierdziła projekt ustawy Permanent Trump Secure Border Act, której celem jest między innymi zaostrzenie kar za nielegalne przekroczenie granicy, wprowadzenie odpowiedzialności karnej za naruszenie warunków pobytu wizowego, ograniczenie stosowania polityki „catch and release" polegającej na zwalnianiu części migrantów w czasie trwania postępowań imigracyjnych, a także zaostrzenie zasad ubiegania się o azyl.

– Chcemy mieć pewność, że jeśli – nie daj Boże – Stany Zjednoczone będą miały kolejnego prezydenta pokroju Joe Bidena, który po prostu otworzy granicę, będzie mu znacznie trudniej zrobić to, co zrobił – powiedział Jim Jordan, republikanin, przewodniczący Komisji Sądownictwa Izby Reprezentantów.

Ile kosztuje „zielona karta"?

Obowiązujące obecnie koszty związane z uzyskaniem prawa stałego pobytu są wielokrotnie niższe od rozważanej przez Biały Dom kaucji.

Wysokość opłat zależy od ścieżki, w ramach której cudzoziemiec ubiega się o „zieloną kartę", oraz od tego, czy procedura prowadzona jest na terytorium Stanów Zjednoczonych, czy za granicą.

Według danych portalu The Hill osoby legalnie przebywające w USA i składające wniosek o zmianę swojego statusu na „stałego rezydenta" (permanent resident) muszą obecnie zapłacić za to 1440 dolarów.

W niektórych przypadkach całkowity koszt tej procedury może być wyższy, jeżeli wnioskodawca równocześnie występuje o wydanie pozwolenia na pracę lub dokumentów uprawniających do ponownego wjazdu do kraju w razie wyjazdu.

Nieco inaczej wygląda procedura dla osób ubiegających się o „zieloną kartę" spoza Stanów Zjednoczonych. Kandydaci korzystający z postępowania konsularnego płacą najpierw 325 dolarów za wypełnienie stosownego formularza Departamentu Stanu USA. Po uzyskaniu pozytywnej decyzji zobowiązani są następnie do uiszczenia opłaty w wysokości 235 dolarów na rzecz Urzędu ds. Obywatelstwa i Imigracji (USCIS). Ta płatność obejmuje przygotowanie stosownej dokumentacji oraz wydanie „zielonej karty".

Równocześnie administracja Donalda Trumpa wprowadza kolejne zmiany dotyczące samej procedury uzyskiwania prawa stałego pobytu. W maju USCIS ogłosił nowe wytyczne, zgodnie z którymi zdecydowana większość osób przebywających na terytorium Stanów Zjednoczonych nie będzie mogła oczekiwać na zakończenie postępowania za oceanem.

Nowe wytyczne przewidują, że wnioskodawcy będą musieli opuścić Stany Zjednoczone i dokończyć procedurę uzyskania prawa stałego pobytu za pośrednictwem amerykańskich placówek konsularnych poza granicami kraju. Wyjątek mają stanowić osoby, których sytuacja zostanie uznana przez USCIS za szczególnie uzasadnioną, przy czym każdy taki przypadek będzie rozpatrywany indywidualnie.

– To w dużej mierze bezprecedensowy krok, który znacznie ograniczy legalną imigrację do USA. Ludzie, którzy wiernie przestrzegali prawa, teraz stają w obliczu ogromnej niepewności – oświadczył dla BBC Michael Valverde, były pracownik wysokiego szczebla w USCIS.

FAKTYCZNE ZAMIARY ADMINISTRACJI TRUMPA TO CHĘĆ ODSTRASZENIA OD IMIGRACJI DO USA SPOREJ LICZBY OSÓB I PRÓBA PRZYCIĄGNIĘCIA ZA OCEAN LUDZI O ZASOBNYCH PORTFELACH.

Poprzednia próba poległa

Nie jest to pierwsza okazja wprowadzenia przez administrację Donalda Trumpa bardzo wysokich opłat w ramach reform prawa imigracyjnego. Wcześniej podobnym rozwiązaniem (również płatność 100 tys. dolarów) objęto wnioski o wizę H-1B.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Wiza ta umożliwia amerykańskim pracodawcom zatrudnianie wysoko wykwalifikowanych specjalistów z zagranicy, przede wszystkim w sektorach wymagających specjalistycznej wiedzy, takich jak branża IT. Dzięki tej wizie dana osoba otrzymuje prawo do czasowego pobytu i pracy w Stanach Zjednoczonych, zazwyczaj na okres trzech lat, jednak nie uzyskuje dzięki niej statusu „stałego rezydenta", który przysługuje posiadaczom „zielonej karty".

Inicjatywa nie weszła jednak w życie, ponieważ została zablokowana przez sąd federalny. W uzasadnieniu wyroku wydanego na początku czerwca sędzia stwierdził, że Biały Dom wykroczył poza zakres przysługujących mu kompetencji, ponieważ w praktyce próbował nałożyć nowy podatek bez wyraźnego upoważnienia ze strony Kongresu, który zgodnie z amerykańskim podziałem władzy tradycyjnie odpowiada za kształtowanie polityki imigracyjnej oraz ustanawianie opłat i różnego rodzaju danin publicznych.

– Charakter oraz sposób stosowania opłaty w wysokości 100 tysięcy dolarów wskazują, że w rzeczywistości jest ona podatkiem, niezależnie od tego, jak zostanie nazwana – stwierdził Leo Sorokin, sędzia federalny ze stanu Massachusetts.

Sorokin dodał ponadto, że „żadne przepisy ustawowe" nie przyznają administracji Donalda Trumpa uprawnień do wprowadzenia opłat tego typu za ubieganie się o amerykańskie wizy.

Wyniki sondażu przeprowadzonego w styczniu 2026 roku przez Pew Research Center wykazały, że 79 proc. Amerykanów sprzeciwiało się przyznawaniu pierwszeństwa w procesie imigracyjnym osobom gotowym zapłacić 1 milion dolarów. Co istotne, przeciwko takiemu rozwiązaniu opowiedziało się również 67 proc. wyborców Partii Republikańskiej, co wskazuje, że propozycje uzależniające możliwość imigracji od bardzo wysokich opłat nie cieszą się powszechnym poparciem nawet w elektoracie Donalda Trumpa.

POMIMO ZWROTNEGO CHARAKTERU KAUCJI JEJ WYSOKOŚĆ JEST DLA WIELU OSÓB Z CAŁEGO ŚWIATA SUMĄ NIEMALŻE ZAPOROWĄ.

Jednocześnie Amerykanie znacznie przychylniej oceniają działania zmierzające do zaostrzenia kontroli nad imigracją. W tym samym sondażu Pew Research Center 62 proc. respondentów poparło utrzymanie zwiększonej obecności wojska na granicy z Meksykiem, natomiast 56 proc. opowiedziało się za umożliwieniem służbom imigracyjnym weryfikowania kont kandydatów w mediach społecznościowych w ramach procedur bezpieczeństwa.

OSOBY LEGALNIE PRZEBYWAJĄCE W USA I SKŁADAJĄCE WNIOSEK O ZMIANĘ SWOJEGO STATUSU NA „STAŁEGO REZYDENTA" MUSZĄ OBECNIE ZAPŁACIĆ ZA TO 1440 DOLARÓW.

Amerykański system imigracyjny od lat znacząco różni się od rozwiązań znanych mieszkańcom Europy. Zarówno procedury wizowe, jak i zasady uzyskania prawa stałego pobytu należą do najbardziej rozbudowanych i restrykcyjnych w świecie zachodnim, co od dawna spotyka się z krytyką cudzoziemców planujących przeprowadzkę do Stanów Zjednoczonych.

Kolejne amerykańskie administracje rzadko decydują się na liberalizację tych przepisów. Wręcz przeciwnie, w ostatnich latach można zaobserwować stopniowe zaostrzanie polityki imigracyjnej, dzięki czemu szansa na upragnioną przez imigrantów „zieloną kartę" tylko coraz bardziej się oddala.

Z perspektywy relacji transatlantyckich pojawia się jednak pytanie, czy w przyszłości Stany Zjednoczone nie mogłyby rozważyć bardziej preferencyjnego podejścia wobec państw europejskich. Bliska współpraca polityczna, wojskowa i gospodarcza wewnątrz świata atlantyckiego mogłaby stanowić argument za stworzeniem uproszczonych zasad wjazdu lub pobytu dla obywateli Europy, być może na wzór „transatlantyckiej strefy Schengen". Zwolennicy takiego rozwiązania wskazują, że w sytuacji, gdy Europa często dostosowuje swoją politykę do oczekiwań Waszyngtonu w wielu obszarach współpracy, podobny gest ze strony Stanów Zjednoczonych byłby wyrazem wzajemności i wzmocnienia relacji między sojusznikami.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Chcą brać i nie kwitować

Jak rosyjska strona rządowa reaguje na kryzys w relacjach polsko-ukraińskich? Z satysfakcją i nadzieją. Jak reaguje na ten kryzys rosyjska opozycja? **Niemal wcale**.

Piotr Skwieciński

Fot. Adobe Stock

To drugie nie dziwi, choć może powinno, zważywszy na absolutną centralność tematu wojny na Ukrainie dla całego rosyjskiego, antyputinowskiego światka. Ale po zastanowieniu się zdziwienie przechodzi.

Po pierwsze – dlatego że uświadamiamy sobie, jak integralnie prozachodnia (nie w sensie abstrakcyjnym, tylko jak najbardziej konkretnym – jak dalece utożsamiająca się z obecnym, lewo-liberalnym, polityczno-kulturowym modelem zachodnioeuropejskim) jest rosyjska opozycja. Może trudno się temu bardzo dziwić – kiedy ma się strasznego, egzystencjalnego wroga i jednego jedynego sojusznika, którego kulturowa propozycja jest wobec tego przeciwnika alternatywą, to nie ma się tendencji do szukania dziury w całym i jakichś tego sojusznika niedostatków. Kiedy więc nagle objawia się taki niedostatek – a niedostatkiem jest i dopuszczenie do rozbratu między bohaterem własnej wyobraźni, czyli Ukrainą, i wspierającym ją krajem, rządzonym w dodatku przez herosa walki z prawicą o wolność, czyli Donalda Tuska – milczenie wydaje się tendencją naturalną. Sam fakt konfliktu w jakimś zakresie bowiem wykazuje, że na świecie zachodnim, rozumianym jako uniwersum doskonałości, pojawia się jakaś rysa, która sama w sobie stawia nad ową doskonałością znak zapytania.

Po drugie – dlatego że rosyjska opozycja jest nieprawdopodobnie ksobna i przekonana o tym, że nic poza nią samą nie ma znaczenia. I z tej perspektywy trudno zajmować się czymkolwiek poza samym sobą. A jeśli już sytuacja wymusiła na tak rozumującym konieczność poświęcania uwagi czemuś innemu, czyli agresji przeciw Ukrainie i samej Ukrainie, to tym trudniej poświęcić ją jeszcze czemukolwiek innemu.

Po trzecie zaś – dlatego że z wszystkich możliwych powodów opozycyjni Rosjanie mają wobec Ukrainy wyrzuty sumienia. I w związku z tym niechęć do podnoszenia jakichkolwiek tematów stawiających ją w mniej ciekawym świetle. A temat UPA i obecnego stosunku Kijowa do zbrodni popełnianych przez tę organizację stawiałby, więc ma się ochotę milczeć. Tym bardziej że chodzi o spór pomiędzy dwiema historycznymi ofiarami rosyjskiego imperializmu. Rosyjskiemu liberałowi głupio byłoby zajmować tu stanowisko.

Nadciąga wrzesień...

A strona rządowa? Tę oczywiście zaindukował Władimir Putin, mówiąc (i on, i bliscy mu funkcjonariusze sprzedawali tę narrację już wielokrotnie, ale polsko-ukraiński konflikt nawiał im wiatru w żagle), że „prędzej czy później Ukraina utraci ziemie zachodnie”. Bo „to, co należało do Polski, co należało do Węgier, co należało do Rumunii – prędzej czy później, nie jutro, może pojutrze, za rok, dwa, dziesięć, 15 lat, ale wszystko historycznie się ułoży. Był tylko jeden gwarant integralności terytorialnej Ukrainy – Rosja” – mówił Putin, który, przypomnijmy, jeszcze w 2008 roku, czyli długo przed Euromajdanem, proponował Donaldowi Tuskowi rozbiór Ukrainy, mając oczywistą nadzieję, że jeśli polski premier pójdzie choćby na milimetr w tę stronę, przerażony Kijów w panice rzuci się w ramiona dotychczasowego „jedynego gwaranta integralności”.

Przy czym ciekawym fenomenem jest, że wielu Rosjan naprawdę wierzy

eprasa.pl 8bb7115c0b

w taką możliwość co jest wyrazem jednocześnie braku zrozumienia, że imperatyw powiększenia terytorium przestał określać polityczne myślenie w zasadzie wszędzie poza Rosją, jak i własnego myślenia życzeniowego („ci z Zachodu są tak naprawdę tacy jak my i tylko udają, że nie mają zaborczych intencji"). Od początku „specjalnej operacji wojskowej" rozmaici patriotyczni rosyjscy eksperci (jak np. Igor Girkin-Striełkow) zapowiadali wkroczenie Polaków na Ukrainę, określając nawet dość konkretne daty, a potem dziwiąc się, dlaczego to, co dla nich jest tak logiczne, wciąż nie nastąpiło.

I dziś na przykład Oleg Hawicz w magazynie „Wzgliad" pisze o niewygasłych, rewanżystowskich (chodzi o wschodnią granicę) nastrojach Polaków, przy czym, aby uzasadnić tę tezę, ucieka się do naprawdę pomysłowych chwytów. Twierdząc na przykład, że kiedy minister Radosław Sikorski w zeszłym roku zasugerował, że Krym mógłby na 20 lat znaleźć się pod mandatem ONZ, a potem odbyłby się tam plebiscyt, tak naprawdę chciał w ten sposób przybliżyć perspektywę odebrania przez Polskę Lwowa – bo chytrze wymyślił, że najpierw zakwestionuje się granice Ukrainy na Krymie, a potem już będzie z górki...

Hawicz określa też, kiedy polska inwazja zacznie się urzeczywistniać. „We wrześniu w Polsce mają się odbyć wojskowe ćwiczenia tzw. koalicji chętnych, a ich organizatorzy nie starają się specjalnie ukryć, że ich cel – to przygotowanie wprowadzenia europejskich wojsk na zachodnią Ukrainę"...

Rosjanie mają wobec Ukrainy **wyrzuty sumienia**. I nie chcą podnosić tematów stawiających ją w mniej ciekawym świetle.

Stworzyć poufny kanał

Najdalej idzie jeden z ważniejszych ekspertów najbardziej prestiżowego periodyku „Rosja w polityce globalnej", nienależący już do „starych słoni" rosyjskiej międzynarodowej analityki, Ilia Fabricznikow. „Polsce, a także pozostałym «młodym Europejczykom» z mniej lub bardziej niezadłużoną gospodarką proponuje się, aby «zapłacili za ucztę» dalszego wspierania Ukrainy. W praktyce oznacza to wykorzystanie ich wiarygodności kredytowej w interesie Unii Europejskiej, dla realizacji celów polityki zagranicznej i wojskowej wyznaczonych przez Brukselę, Berlin, Paryż i Londyn" – pisze i stwierdza, że „budzi poważne wątpliwości, czy Polska, od dawna aspirująca do odgrywania szczególnej roli w Unii, zgodzi się na takie podejście".

A przecież „historyczne traumy Polski skłaniają ją do prowadzenia aktywnej polityki europejskiej, której celem jest zagwarantowanie sobie szczególnej roli bufora między Zachodem a Wschodem – niezależnie od tego, jak dalej potoczą się losy kontynentu. Czyż nie jest to okoliczność, z której Federacja Rosyjska mogłaby skorzystać?". Zwłaszcza „na tle otwartego konfliktu prezydenta Nawrockiego z władzami w Kijowie w związku z gloryfikacją banderowców? Dla jednych Polaków może to być jedynie element gry politycznej, jednak część polskiego establishmentu może potraktować rozłam polsko-ukraiński całkiem poważnie. Podobnie jak perspektywę finansowania z własnej kieszeni ukraińskiej strategii Brukseli, Berlina i Paryża".

Autor polemizuje ze znanym ekspertem najstarszego pokolenia Siergiejem Karaganowem, który w ciągu ostatnich lat, periodycznie aż do granicy śmieszności, wzywa władze rosyjskie do użycia broni jądrowej – czy to wobec Ukrainy, czy Zachodu. Stwierdza, że Karaganow „mówi o konieczności przeprowadzenia prewencyjnego uderzenia jądrowego na logistyczne centrum NATO w Rzeszowie. Załóżmy, że przyniosłoby ono efekt militarny. Być może jednak bardziej celowe byłoby podjęcie rozmów z wpływowymi polskimi partnerami w ramach całkowicie nieformalnego kanału komunikacji i przedyskutowanie powojennego kształtu Ukrainy oraz zapewnienia – między innymi – bezpieczeństwa Polski w zakresie przestępczości. W warunkach zapowiedzianej przez Unię Europejską degradacji statusu ukraińskich migrantów kwestia ta nabiera szczególnego znaczenia".

Ów kanał Fabricznikow wyobraża sobie, przynajmniej na początkowym etapie, jako poufne spotkania „pomiędzy rosyjskim i polskim środowiskiem eksperckim albo między specjalistami służb odpowiedzialnych za politykę zagraniczną. Można by omówić nie tylko kwestie powojennego urządzenia Ukrainy i przyszłości ukraińskiej części Kresów Wschodnich, lecz także kluczową rolę Polski w powojennej Unii Europejskiej". Autor „Rosji w polityce globalnej" ma nadzieję, że „pomimo ostrego antagonizmu między Rosją a Polską doświadczenie historyczne oraz istniejąca, choć odległa w czasie, [polska – przyp. P.S.] tradycja mocarstwowa pozwalają przynajmniej przypuszczać, że w polskim kierownictwie państwa istnieje swoisty, lecz racjonalny, sposób myślenia, ukierunkowany na poszukiwanie długofalowych korzyści".

Bo przecież „trudno przypuszczać, aby polskie kierownictwo i naród były zachwycone perspektywą stania się – po Ukrainie – kolejną linią konfrontacji z Rosją, o czym często mówią europejskie media" – pisze

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fabricznikow. I kąśliwie konstatuje, że „umiejętność «rzucania pod koła lokomotywy historii» innych państw, przy jednoczesnym unikaniu własnych kosztów, od zawsze była jedną z największych specjalności czołowych mocarstw europejskich".

Po zawarciu ewentualnego porozumienia zaś, „w wyniku powojennego uregulowania konfliktu Polska mogłaby stać się naturalnym i wpływowym hubem dla dostaw towarów oraz surowców energetycznych z Eurazji do Europy Zachodniej. Mogłaby również stać się narzędziem wywierania wpływu na Brukselę, która lekceważy podstawowe interesy Polski oraz jej «politykę pamięci», wciągając Warszawę w nienaturalną współpracę z Kijowem".

„Podczas takich hipotetycznych spotkań – pisze Fabricznikow – można by również omówić powojenny polityczny i gospodarczy porządek Europy oraz szczególną rolę Warszawy w kształtowaniu spraw Europy Zachodniej – rolę, która w długiej perspektywie mogłaby przynieść Polsce więcej korzyści niż coroczne dotacje z Brukseli". W powietrzu zawisa pytanie, czy znaczy to, że w zamian za jakieś udzielone przez Moskwę korzyści Polska miałaby wziąć na siebie rolę rosyjskiego manewrowego konia w Europie?

„Znając głęboką, historycznie i psychologicznie zakorzenioną w świadomości Polaków niechęć do Rosji, a co gorsza – całkowity brak wzajemnego zaufania, wszyscy powiedzą, że taki pomysł jest utopijny. Jest w tym wiele racji, jednak należy uwzględnić jedną istotną okoliczność. Przeżywamy nie tylko okres geopolitycznej niestabilności, lecz czas tektonicznego przesunięcia światowego porządku, kiedy bardzo szybko kształtują się zupełnie nowe relacje, a dotychczasowe konstrukcje całkowicie tracą swoją funkcjonalność. W takich epokach mogą zbiegać się bardzo nieoczekiwane interesy i powstawać bardzo dziwne sojusze – choćby tylko doraźne. Narodowe interesy Polski i Rosji – jeśli obu stronom udałoby się uzgodnić ograniczenie działań wymierzonych przeciwko sobie – mogłyby okazać się znacznie bardziej zbieżne, niż mogłoby się wydawać przy pierwszym, zideologizowanym i emocjonalnym spojrzeniu" – konkluduje Fabricznikow.

Tradycja nie znika

Naczelny „Rosji w globalnej polityce" Fiodor Łukjanow również ma pewne nadzieje dotyczące zmiany postawy Polski. Bo przecież, jak podsumowuje w wywiadzie z zajmującą się naszym krajem historyczką Marią Pawłową, „tradycja wielkomocarstwowa, nawet jeśli należy już do dość odległej przeszłości, nie zanika bez śladu – zachowują się związane z nią umiejętności i nawyki".

> Imperatyw powiększenia terytorium przestał określać polityczne myślenie w zasadzie **wszędzie** poza Rosją.

Łukjanow odnosi się do wypowiedzi Pawłowej stwierdzającej, iż „historia pokazuje, że od XVII wieku wszystkie próby stworzenia sojuszu polsko-ukraińskiego lub jakiejś formy wspólnoty były motywowane wyłącznie wspólną konfrontacją z Rosją. Gdy tylko ta konfrontacja się kończyła, sojusz się rozpadał".

Pawłowa konstatuje, że „od lat 80. polskie elity kierowały się tezą, która zaczęła przypominać mantrę: nie ma niepodległej Polski bez niepodległej Ukrainy. Innymi słowy, polskie bezpieczeństwo narodowe uzależniano bezpośrednio od istnienia niepodległej Ukrainy. Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat niektórzy polscy politolodzy podczas zamkniętych spotkań, nie przeznaczonych do upublicznienia, zaczęli nie tyle kwestionować tę tezę, ile zastanawiać się, czy rzeczywiście jest ona słuszna. Polska jest przecież państwem członkowskim Unii i NATO, które i tak graniczy zarówno z Rosją, jak i z Białorusią. Jeśli Ukraina utraci część terytorium albo znajdzie się w rosyjskiej strefie wpływów, czy rzeczywiście będzie to miało aż tak fatalne konsekwencje dla polskiej państwowości?".

„Wydaje się – ma nadzieję Pawłowa – że takie pytanie może stać się początkiem naprawdę interesującej debaty w polskim społeczeństwie. Tym bardziej że wraz z postępem negocjacji dotyczących euroatlantyckiej integracji Ukrainy stosunki polsko-ukraińskie będą się nieuchronnie pogarszać".

***

Rosyjscy analitycy krążą dookoła oceny, iż może być możliwe przekonanie Polski, że nie musi uznawać konfrontacji Rosji z Ukrainą za kluczowy element określający jej własne położenie, a obronienia Ukrainy – za kluczowy element swojego bezpieczeństwa. Można jednak odnieść wrażenie, że najczęściej mają nadzieję, iż mogłoby się to stać samo z siebie, na skutek naturalnych procesów oddalających od siebie Warszawę i Kijów. Wtedy Moskwa byłaby w komfortowym położeniu pozwalającym jej na cieszenie się uzyskanymi z takiego rozwoju sytuacji korzyściami bez większego własnego zaangażowania, bez większych konkretnych ustępstw czy gwarancji wobec polskiej strony. Innymi słowy Kreml miałby od Polski brać i nie kwitować.

Takie założenie wydaje się hurraoptymistyczne. Ale też, widząc, jak przekształca się w ostatnich miesiącach polska opinia publiczna, nie potrafiłbym z czystym sumieniem orzec, że całkowicie nierealne.

eprasa.pl 8bb7115c0b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Czy Schengen ma jeszcze sens?

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że strefa Schengen to jeden z najbardziej pozytywnych aspektów członkostwa w Unii Europejskiej, który jednocześnie zrewolucjonizował podróżowanie wewnątrz Wspólnoty. A jednak śledząc ostatnie wydarzenia z Hiszpanii czy politykę migracyjną Francji, coraz częściej zastanawiam się, czy jej obecny kształt ma jeszcze sens.

Sytuacja w Ceucie, hiszpańskiej eksklawie w Afryce Północnej, przybrała rozmiary bezprecedensowego kryzysu bezpieczeństwa. W ciągu kilku dni w sposób niekontrolowany granicę z Marokiem przekroczyło kilkadziesiąt tysięcy osób. Chociaż większość z nich została szybko odesłana do swojego kraju, to według części mediów, „zniknęło" około dwóch tysięcy niebezpiecznych osób, które najprawdopodobniej będą próbowały przedostać się do Hiszpanii i pozostałych państw UE.

Nic dziwnego, że doniesienia z Ceuty wywołały międzynarodową burzę oraz ostrą reakcję części rządów, z włoskim na czele. Bardzo szybko pojawiły się też groźby zawieszenia obowiązywania strefy Schengen w relacjach z Hiszpanią. Warto w tym miejscu przypomnieć, że kilka miesięcy temu hiszpański rząd Pedro Sáncheza zapowiedział przeprowadzenie uregulowanie statusu 500 tys. nielegalnych imigrantów, choć policja szacuje, że wraz z rodzinami liczba ta może wzrosnąć do 3 milionów osób (!). Jeżeli państwo wysyła komunikat, że nielegalny pobyt może po pewnym czasie zakończyć się legalizacją, to część potencjalnych migrantów może uznać, że ryzyko opłaca się podjąć.

Eksperci wskazują, że tak gwałtowny napływ ludzi do Hiszpanii wywoła paraliż usług publicznych, aktywizację grup przestępczych, a także handel fałszywymi certyfikatami i wyłudzanie prawa pobytu. Skutki? Łatwo przewidzieć. Dodajmy do tego jeszcze politykę migracyjną Francji, która również na potęgę ściąga przybyszów z całego świata.

W związku z powyższym nie jest niczym zaskakującym to, że pojawiają się pytania o przyszłość strefy Schengen oraz Unii Europejskiej jako takiej. Zwłaszcza że Schengen nie jest wyłącznie przywilejem swobodnego podróżowania, ale przede wszystkim systemem wzajemnego zaufania, które coraz częściej jest nadwyrężane. Wystarczy porównać, jak zmieniała się Europa Zachodnia na przestrzeni dekad, by zobaczyć, że trend jest – z naszego punktu widzenia – pesymistyczny.

Unia Europejska od lat powtarza, że migracja wymaga wspólnej odpowiedzialności. Problem w tym, że w praktyce decyzje podejmowane przez jedno państwo mają konsekwencje dla pozostałych. Trudno jednak, by było inaczej. Wszak jeśli jeden element całego systemu działa według zupełnie innej filozofii niż pozostałe, to konsekwencje obejmują wszystkie. Może więc warto zastanowić się na początku, czy Hiszpania powinna być w Schengen?

eprasa.pl 8bb7115c0b

Społeczeństwo

Europejczycy KONTRA patrioci

Jeszcze do 2 października wielu mieszkańców Warszawy daje wyraz pamięci o Powstaniu, wywieszając na murach bloków i kamienic nasze narodowe flagi. Ale... są takie miejsca w stolicy, gdzie **nie uświadczy się** tego symbolu.

Monika Małkowska

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 8bb7115c0b

Od razu widać, że nowe, wypasione apartamentowce i drogie pilnie strzeżone osiedla zamieszkują ludzie obojętni wobec naszej historii. Patriotyzm? Wyrzucić na śmietnik, razem z martyrologią i pamięcią o ofiarach wszystkich naszych narodowych powstań. Indolencja „młodych, wykształconych, z wielkich miast" nie wzięła się sama z siebie. To efekt wieloletniego procesu narzuconego i sterowanego przez lewicowych liberałów oraz piewców polityki UE. Kiedyś w Rosji Radzieckiej pracowano nad wychowaniem „nowego sowieckiego człowieka" – teraz starania idą w kierunku ukształtowania społeczeństw wykorzenionych z kultury (i historii) własnego kraju, kosmopolitycznych, tolerancyjnych wobec wszystkiego, co niosą obce tradycje. W gruncie rzeczy „hoduje się" ludzi bezideowych, aspołecznych, nakierowanych wyłącznie na własne benefity.

Sockonsumpcjonizm

Według mnie zaczynu tej egocentrycznej postawy należy szukać w czasach PRL-owskiego „dobrobytu". To w latach 70. pojawiły się postawy zwane sockonsumpcjonizmem. Za Gierka wyjazdy na Zachód stały się łatwiejsze, posiadanie dewiz czy złota nie groziło kryminałem, w sklepach pojawiło się więcej „luksusowych" dóbr. Jeszcze po niektóre ogólnodostępne „atrakcje" – jak modne meble czy lepszej jakości sprzęt elektroniczny (radia, tranzystory, telewizory, głośniki) trzeba było zapisać się i odstać w kolejkach społecznych, ale pojawił się też wyłom: Pewexy. Sieć sklepów, powstała w 1972, proponowała towary z importu za twarde waluty bądź bony towarowe. Sklepy stosunkowo „demokratyczne", otwarte dla wszystkich, w odróżnieniu od tych „za żółtymi firankami", w głębokiej komunie dostępne jedynie funkcjonariuszom najwyższej rangi. Oferta Pewexu była skromna, lecz i tak oszałamiała zachodnimi markami – od dżinsów (Wranglery i Lee), bielizny i swetrów (słynne szetlandy) poprzez alkohole (brandy Napoleon), samochody, materiały budowlane po... papier toaletowy. Wszystko to był standard zdecydowanie poniżej zachodniej klasy średniej, lecz na tle PRL-owskiego ubóstwa wydawał się rajem. Ale warto przypomnieć jeszcze o jednym: Pewexy wyznaczyły w polskim społeczeństwie linię podziału między „gołodupcami", których nie stać było na „pewexowanie" (chłopami, robotnikami i pomniejszymi urzędnikami), a ludźmi lepiej sytuowanymi, raczej z wyższym wykształceniem, często z partyjną przynależnością, jeszcze częściej krętaczy i cwaniaków. W Pewexach nie sprawdzano źródeł pochodzenia dewiz czy bonów towarowych. Co zabawne – niektóre towary, zwłaszcza trunki i papierosy, stały się „tradycyjną" formą gratyfikacji za rozmaite usługi (np. porady lekarskie bądź prawnicze – może to wtedy zaczęła się degeneracja w tych zawodach?). Po naszej transformacji Pewexy, te oazy cinkciarstwa (gdyby ktoś nie wiedział – żargonowe określenie typków handlujących walutami, od angielskiego change cash) zaczęły przegrywać z polską przedsiębiorczością (też trochę na krzywy ryj), a zupełnie straciły rację bytu po wprowadzeniu wymienialności złotówki oraz ceł i podatków narzuconych na pewexowe towary.

> PO PRZEWROCIE 1989 ROKU STAN POSIADANIA ZACZĄŁ BYĆ WYZNACZNIKIEM SPOŁECZNEGO STATUSU I PODSTAWĄ UZYSKANIA SZACUNKU BLIŹNICH.

„A to Polska właśnie"

Kiedy wreszcie przewrót 1989 roku otworzył nam wrota do zachodnich dóbr, trzeba było wielu lat, by zaspokoić półwiekowe nienasycenie. To wtedy stan posiadania zaczął być wyznacznikiem społecznego statusu i podstawą uzyskania szacunku bliźnich. Ludzie wygłodzeni PRL-em rzucili się na dobra konsumpcyjne, ochoczo przyswajając sobie amoralne postawy typu „pierwszy milion trzeba ukraść". Na porządku dziennym stało się „jumanie" – takie „niewinne" okradanie supermarketów w bogatszych krajach, w przeciwieństwie do grubych przekrętów przy prywatyzacji państwowych zakładów przemysłowych czy PGR-ów. Ktoś, kto zachowywał respekt do tradycyjnych wartości, plasował się na pozycji dinozaura. Wtedy też patriotyczną postawę schowano do lamusa: byliśmy wolnym krajem, wróg zniknął, trzeba było tylko zadbać o gospodarkę. Wielu obywateli transformacja PRL-u w III RP wpędziła w skrajną biedę, ale co zasobniejsi wpadali w euforię. Ton nadawali – a jakże! – aktorzy i artyści, w latach 80. opoka podziemia. Znów warto przypomnieć, że swą pozycję moralnych wyroczni zawdzięczali czasom, gdy współtworzyli drugi obieg kultury, negowali czerwoną władzę i odwoływali się do patriotycznych

eprasa.pl 8bb7115c0b

tradycji oraz religijnych symboli. Hitami były narodowe dramaty Stanisława Wyspiańskiego – „Wyzwolenie", „Wesele", „Warszawianka" czy „Noc listopadowa", a fraza „A to Polska właśnie" stała się narodowym idiomem.

Pod obcym butem

Zastanawiające – czy trzeba, by nasz kraj znalazł się w zagrożeniu lub zaznawał spektakularnych poniżeń ze strony ościennych nacji, aby wykrzesać z rodaków patriotyczne iskry? Pamiętam stan wojenny i emocje tamtej dekady. Na kilka lat sfera dóbr materialnych dla wielu Polaków zeszła na plan dalszy, zminimalizowana do potrzeb bazowych. Patriotyzm stał się najwartościowszą cnotą, jak za zaborów. Niestety, w niejednym przypadku była to fasada, niezbędna do towarzyskiej akceptacji. Zwłaszcza w gronach zwanych intelektualno-artystyczną elitą. Celnie scharakteryzował tę fałszywą postawę książę Adam Kazimierz Czartoryski w „Katechizmie rycerskim" (1774): „powierzchowność okazywać się usiłuje dla pewniejszego ludzi zwodzenia; pod tym ujmującym pozorem ukrywa ambicje, miłość własną, własny interes. Tym jest zdradliwszą zasłoną hipokryzji, obłudy, nieszczerości albo udawania cnót, im trudniejszą jest do przeniknienia". Skoro mowa o tamtych czasach – kiedy Polska rozsypywała się pod zaborami, idee patriotyczne głosiły tajne ugrupowania: założone w 1821 roku w Królestwie Polskim Narodowe Towarzystwo Patriotyczne oraz Towarzystwo Patriotyczne, organizacja powołana w 1830 roku, w czasie Powstania Listopadowego. Formą patriotyzmu była też w czasie zaborów „praca organiczna", wprowadzana w czyn przez pozytywistów. Skoro – przez jakiś czas – Polacy musieli funkcjonować bez własnego państwa, trzeba było angażować się w pracę, naukę, postęp techniczny i upowszechnianie kultury. Szczególnie to ostatnie było uważane za przejaw patriotyzmu: szerzenie kultury i oświaty, podtrzymywanie polskiego rzemiosła, a nade wszystko – języka ojczystego.

Wolnościowe wzmożenie

Przejdźmy do naszego kolejnego „wyzwolenia" – spod sowieckiej kurateli. W 1989 roku Grzegorz Tomczak wstrzelił się w zbiorowe emocje „Tangiem na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos", w wersji pierwotnej wyśpiewanym przez autora, następnie spopularyzowanym przez Marylę Rodowicz, a potem powielanym w wielu coverach. Och, jak to rezonowało! „Ty to masz szczęście, że w tym momencie/Żyć ci przyszło w kraju nad Wisłą/Ty to masz szczęście". Pionierzy wyzwalania Polski od komunistycznych decydentów, wpływów i złogów w pierwszej fali patriotycznego wzmożenia nieśli na sztandarach polskość. Utwór Tomczaka odbierano jednoznacznie – jako deklarację wolnej i wyswobodzonej z komunizmu Polski. „To nie wróg był, bo głos cichy i subtelny, ale polski i nieskazitelny" – cytuję inny fragment z wzmiankowanego powyżej utworu. Potem pojawia się przywołanie Adama Mickiewicza i Cypriana Kamila Norwida, a wszystko to w kontekście Okrągłego Stołu i czerwcowych wyborów. No, wzrusz. W tym samym patetycznym duchu „przemawiał" do narodu plakat „W samo południe" (praca grafika Tomasza Sarneckiego), namawiający do udziału w czerwcowym głosowaniu. Kompozycyjnie mało wyrafinowany, prosty, wręcz łopatologiczny, okazał się mieć ogromną siłę rażenia. Dzięki staraniom Janiny Jankowskiej, działaczki Solidarności, afisz wydrukowano w nakładzie 10 tys. egzemplarzy i rozwieszono w przestrzeni Warszawy rankiem 4 czerwca 1989 roku. Nikt wtedy nie marudził, że symbolem wolnych wyborów nie stał się np. Lech Wałęsa, lecz bohaterski szeryf grany przez Gary'ego Coopera z westernu „W samo południe" z 1952 roku. W ogóle pomysł był pastiszowy: w plakatowej wersji Sarneckiego amerykański aktor zamiast colta dzierżył kartkę z napisem „wybory", za plecami mając wypisane charakterystyczną czcionką słowo „Solidarność"; także w miejscu gwiazdy szeryfa widniała „solidarnościowa" plakietka.

> CZY TRZEBA, BY NASZ KRAJ ZNALAZŁ SIĘ W ZAGROŻENIU, ABY WYKRZESAĆ Z RODAKÓW PATRIOTYCZNE ISKRY?

Operacja na mentalu

W latach 90. zaczęto rozpowszechniać inną narrację: postpeerelowskie złogi muszą wymrzeć, dopiero wtedy uformuje się społeczeństwo nieskażone komuną, otwarte na świat, postępowe i europejskie. Wyjątkową perfidią było to, że tę legendę najgorliwiej lansowali ci, którzy pełnymi garściami czerpali z przywilejów uzyskanych dzięki układom i kasie partyjnych rodziców. „Resortowe dzieci" urządziły sobie III RP dla siebie, na swoich warunkach. Dawny patriotyzm, kojarzony z walką z komuną, z Solidarnością i strajkami okrzyknięto passé. Teraz

eprasa.pl 8bb7115c0b

zaczęto stawiać na Polaka-Europejczyka bez właściwości, biernie przyjmującego liberalno-lewicową ideologię. To „nowoczesne" ideolo wsączano poprzez media, kulturę i edukację, rozbudzając w rodakach (młodych, wykształconych, którzy z małych miejscowości przenieśli się do dużych miast) ambicje doszlusowania do klasy średniej. Pamiętacie celebrytów, paskudnie wypowiadających się o Polsce i rodakach, deklarujących się jako obywatele Europy bez konkretnej narodowości? Wtedy to postawiono znak równości między patriotyzmem a nacjonalizmem. Polacy mający w swym DNA miłość do ojczyzny i gotowość dla niej na poświęcenia powinni się tego... wstydzić. Szczególnie młodym aspirującym do miana światowców udało się wmówić, że patriotyzm to obciach. Tylko przegrywy wymachują biało-czerwonymi flagami, celebrują narodowe święta i manifestują narodową dumę.

Sprzątanie po psie

W czym dziś objawia się patriotyczna postawa? Dla wielu to po prostu przyzwoite zachowanie. Uiszczanie podatków, przestrzeganie prawa, udział w wyborach. Szczyt patriotyzmu to kupowanie produktów z polskim logo, zwłaszcza gdy są droższe niż te z importu. Do patriotów zaliczają się też ci, którzy sprzątają fekalia swojego psa. A nowocześni patrioci odhaczają narodowe święta w kalendarzu, kiedy to mogą wyjechać na dłuższe weekendy. Deklaracja polskości bywa też groteskowa – jak kampania społeczna „Orzeł może" (2 maja 2013), prowadzona pod auspicjami prezydenta Bronisława Komorowskiego. Jej symbolem stał się tzw. morzeł, dwumetrowy orzeł wyrzeźbiony w białej czekoladzie, w otoczeniu różowych baloników. Miał zachęcać do nowoczesnego patriotyzmu, ale stał się synonimem obciachu. Nas też pewni znajomi uznali za obciachowców, narodowców i prawicowe wstecznictwa za sprawą... wywieszonej na balkonie polskiej flagi. Zaprosiliśmy przed wyborami 15 października 2023 roku dawno niewidzianą parę (wyższe wykształcenie, zamożni prawnicy). Na widok biało-czerwonej materii powiewającej za balkonem owi znajomi zaczęli się dopytywać, co chcemy zademonstrować? Opowiedzenie się po prawej stronie? Wstyd! A trzeba wiedzieć, że „elity" są szczególnie niesamodzielne myślowo i mało kto jest odporny na dyskredytację, a już towarzyski ostracyzm to największa tragedia.

Absencja bez powodu

Właściwe poglądy suflują gremia opiniotwórcze, a nade wszystko – lewa strona rządu. W ich opcji udział w narodowych świętach sytuuje uczestników jako nazistów, rasistów i ksenofobów. Ba, lobberzy polexitu. Przykład daje premier: Donald Tusk z dziwną konsekwencją unika wzięcia udziału w obchodach świąt państwowych. Osobiście nie łączę tego z naiwnym tłumaczeniem z przywołaniem „dziadka z Wehrmachtu". Jego lekceważenie naszych najważniejszych narodowych rocznic musi mieć osobowościową przyczynę. Strach przed wygwizdaniem? Przed konfrontacją z inaczej myślącymi Polakami? Jak na premiera – słabe. Podobnie jak „morzeł", przykrywanie absencji infantylnymi rolkami na TikToku tylko kompromituje prezesa Rady Ministrów.
A oto lista jego ostatnich nieobecności. Gdzie był Tusk w kwietniu br., gdy Polska fetowała 1050. rocznicę chrztu Polski? Uprawiał jogging w Tokio. Nie było go w Warszawie 1 sierpnia, podczas celebracji 82. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Systematycznie omija też rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę; ignoruje Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" obchodzony 1 marca; jak ognia unika uczestnictwa w obchodach rocznicy katastrofy smoleńskiej (10 kwietnia), w której zginęło 96 najważniejszych w Polsce postaci, polityków ze wszystkich opcji, w tym z PO; odpuszcza sobie udział w obchodach rocznicy rzezi wołyńskiej (11 lipca); olewa rocznice Powstań Śląskich czy Powstania Wielkopolskiego (27 grudnia). W nielicznych przypadkach Donald Tusk podawał przyczyny nieobecności – zagraniczna delegacja lub jakiś zabieg medyczny – ale na ogół po prostu znika.
To nie do pomyślenia w innych krajach, żeby premier „miał wywalone" na najważniejsze państwowe święta. Obecność na nich to obowiązek szefów rządu. Może Donald Tusk stracił już charyzmę najważniejszego w kraju męża stanu?

TO NIE DO POMYŚLENIA W INNYCH KRAJACH, ŻEBY PREMIER „MIAŁ WYWALONE" NA NAJWAŻNIEJSZE PAŃSTWOWE ŚWIĘTA. OBECNOŚĆ NA NICH TO OBOWIĄZEK SZEFÓW RZĄDU.

eprasa.pl 8bb7115c0b

KULTURA

Czytaj też:
Waszyngton i inni młodzi ludzie 56

NATURALNOŚĆ jest moim największym atutem

– W moich tekstach bardzo często pojawiają się odniesienia do natury i przyrody. To wynika z tego, że od dziecka jestem z nią związana i spędzam w lesie naprawdę dużo czasu. To jest zupełnie naturalne. Byłoby świetnie, gdyby moja muzyka rzeczywiście dodawała ludziom energii – mówi **Martyna Wrochna**, wokalistka, autorka tekstów, leśniczka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Piotr Kusak

eprasa.pl 8bb7115c0b

Po kilku świetnie przyjętych singlach Martyna Wrochna wraca z zupełnie świeżą propozycją. Jej najnowszy singiel „**Kasztanowce**” to przebojowy powiew lata, który oficjalnie zapowiada debiutancki album artystki. Tytułowe „Kasztanowce” to symbol momentów, które wracają do nas cyklicznie – dokładnie tak jak zapach jesieni czy wspomnienia, o których miało się już nie myśleć.

– Co roku na rynku muzycznym pojawiają się nowe głosy. Czy masz coś, czego nie mają inne polskie wokalistki? Co jest Twoim największym wyróżnikiem?

– Myślę, że przede wszystkim naturalność. Jestem bardzo naturalna i może właśnie to najlepiej mnie sprzedaje. Tworzę pop, ale taki bezpieczny. W tym gatunku naprawdę trudno się wyróżnić, bo większość utworów jest przygotowywana z myślą o radiu. Razem z producentami właśnie taki cel sobie postawiliśmy – chcemy próbować zaistnieć w rozgłośniach radiowych. Myślę jednak, że to właśnie naturalność jest moim największym atutem.

– Skoro już o tym mówimy, nie unikniemy porównań. Posłuchałem Twojego najnowszego singla „Kasztanowce” i słyszę w nim mieszankę Darii Zawiałow, mocniejszej Kaśki Sochackiej i odrobiny sanah. Produkcyjnie ten utwór jest bardzo radiowy. Taki był zamysł?

– Jeśli taki jest odbiór, to bardzo się cieszę, bo właśnie o to nam chodziło. Chcieliśmy, żeby utwór miał trochę klimatu Darii Zawiałow. Szczerze mówiąc, jeszcze nie mam do końca wypracowanego własnego stylu. Wydałam dopiero pięć utworów i wciąż go szukam.

– Skupiam się przede wszystkim na najnowszym singlu. Nie analizuję całej przeszłości artysty. Interesuje mnie to, co dzieje się tu i teraz. Dlatego rozmawiamy o „Kasztanowcach”.

– I bardzo dobrze. To typowo popowy utwór i dokładnie taki miał być. Powstał z myślą o stacjach radiowych i udało się – jest już emitowany.

– Super.

– Ostatnio dostałam nawet wiadomości od znajomych, że usłyszeli mnie w Programie Pierwszym Polskiego Radia.

– Podoba mi się też Twoje podejście do muzyki. Mówisz wprost, że chcesz zakotwiczyć w popie, że to jest Twoja estetyka. To bardzo rozsądne. Wynika to z życia prywatnego, pracy zawodowej czy po prostu z chłodnej analizy rynku?

– Trochę ze wszystkiego. Patrzę na to, co dzieje się na rynku, i podchodzę do tego racjonalnie. Nie mam ogromnych oczekiwań. Po prostu dobrze się bawię. Gram na gitarze i śpiewam praktycznie od zawsze i będę to robić niezależnie od tego, czy przyniesie mi to duże pieniądze. Na co dzień normalnie pracuję, więc muzyka jest dla mnie czymś dodatkowym. Dzięki temu mam do niej zdrowy dystans.

UCZĘ SIĘ STAWIANIA GRANIC, WIĘKSZEJ PEWNOŚCI SIEBIE I TEGO, ŻEBY CZASAMI BARDZIEJ ZAUFAĆ SOBIE.

– Czym zajmujesz się zawodowo?

– Skończyłam leśnictwo.

– Naprawdę?

– Tak. Być może stąd również tytuł „Kasztanowce”.

– Świetne. Pomyślałem nawet, że to utwór lata z bardzo jesiennym tytułem. Zastanawiałem się, czy nie pomyliły Ci się pory roku.

– Nie. Napisałam tę piosenkę w lipcu. Kasztanowce oczywiście wtedy nie kwitły, ale miały piękne zielone liście. Leżałam w hamaku, patrzyłam w górę i wtedy powstały pierwsze słowa: „Tysiące liści, kasztanowce”.

– I później wszystko potoczyło się samo?

– Tak. To chyba pierwszy utwór, który napisałam od początku do końca samodzielnie. Pierwszą zwrotkę stworzyłam właśnie w hamaku. Potem wróciłam do domu, dopisałam gitarę, kolejną zwrotkę i od razu wysłałam całość producentom.

– Leśnictwo to dość nietypowy pomysł. Patrząc na Ciebie, nie powiedziałbym, że właśnie taki kierunek studiów wybrałaś. Skąd się to wzięło? Rzeczywiście w tej branży pojawia się coraz więcej kobiet?

– To był kompletny przypadek. Nie miałam sprecyzowanych planów na studia. Zobaczyłam wolne miejsca na leśnictwie w Lublinie, zgłosiłam się i zostałam przyjęta. Studia bardzo mi się spodobały, dlatego później kontynuowałam naukę na studiach magisterskich w Warszawie, na SGGW. Mam też wrażenie, że kobiet w tej branży rzeczywiście jest coraz więcej.

– Czym dokładnie zajmujesz się na co dzień?

– Nie odpowiadam za gospodarkę leśną. Pracuję w dziale edukacji. Opowiadam dzieciom i młodzieży o zwierzętach oraz przyrodzie.

eprasa.pl 8bb7115c0b

– Czyli odwiedzasz szkoły?
– Nie. To szkoły przyjeżdżają do nas.

– Jesteś więc przewodniczką po lesie?
– Można tak powiedzieć. Najczęściej prowadzimy zajęcia na Młocinach, ale również w innych warszawskich kompleksach leśnych.

– W miastach coraz częściej można spotkać dziki. Skąd bierze się ich większa obecność?
– To w dużej mierze nasza zasługa. Umożliwiamy im łatwy dostęp do pożywienia. Nie zamykamy śmietników, zostawiamy resztki jedzenia, więc dziki szybko zorientowały się, że w mieście mogą zdobyć pokarm znacznie łatwiej niż w lesie. Dlatego pojawia się ich coraz więcej.

– Są po prostu bardzo inteligentne.
– Dokładnie. Zwierzęta bardzo szybko uczą się takich zachowań.

– Zapytam jeszcze o edukację. Jak młodzi ludzie reagują na zajęcia, które prowadzisz? Naprawdę interesują się przyrodą czy traktują to raczej jako obowiązkową szkolną wycieczkę?
– Wszystko zależy od sposobu prowadzenia zajęć. Trzeba je dostosować do wieku uczestników. Dzisiaj dzieci praktycznie od najmłodszych lat mają telefony i naprawdę trzeba się postarać, żeby zainteresować je lasem oraz naturą. Właśnie dlatego również w swoich tekstach często nawiązuję do przyrody, bo jestem z nią związana od dzieciństwa.

– Dobrze pamiętam, że zaczynałaś od publikowania coverów?
– Tak.

– Nadal uważasz, że TikTok jest ważnym miejscem dla początkującego artysty?
– Tak, choć jednocześnie jest to dla mnie trochę frustrujące. Potrafię poświęcić mnóstwo czasu na przygotowanie coveru, który obejrzy zaledwie kilkaset osób. A później wrzucam coś zupełnie przypadkowego i nagle okazuje się, że materiał zdobywa tysiące wyświetleń. Trudno znaleźć w tym jakąś logikę.

– Kiedy planujesz premierę płyty?
– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w październiku.

– Czyli nie będzie to wyłącznie pop?
– Nie. Oczywiście pop pozostaje najbliższy temu, co robię, ale na płycie pojawią się również utwory bardziej alternatywne. Wciąż szukam własnego stylu i pozwalam sobie na eksperymenty. Chciałabym tworzyć przede wszystkim muzykę popową, ale nie wykluczam również mocniejszych czy bardziej gitarowych brzmień.

– Myślałaś o tym, żeby mocniej połączyć swoją pracę z muzyką? Budować markę artystki, która na co dzień zajmuje się leśnictwem i czerpie z tego inspiracje?
– Mogłabym to połączyć, chociaż trudno byłoby śpiewać wyłącznie o lesie. Już teraz w moich tekstach bardzo często pojawiają się odniesienia do natury i przyrody. To wynika z tego, że od dziecka jestem z nią związana i spędzam w lesie naprawdę dużo czasu. To jest zupełnie naturalne. Byłoby świetnie, gdyby moja muzyka rzeczywiście dodawała ludziom energii.

– Jestem pod wrażeniem, że Twoje utwory trafiają już do dużych rozgłośni radiowych. Jak udało Ci się to osiągnąć?
– Mam wokół siebie świetnych ludzi. Bardzo pomaga mi Weronika Szymańska i między innymi dzięki niej jestem dzisiaj tutaj. To ona wspiera mnie w wielu działaniach promocyjnych.

Martyna Wrochna

26-letnia wokalistka i autorka tekstów z Warszawy, która swoją muzykę buduje na emocjach, wspomnieniach i obrazach natury. W jej utworach popowa lekkość miesza się z nostalgią, a miejskie historie przeplatają się z tęsknotą za spokojem, lasem i życiem bliżej natury.

Podczas pisania tekstów artystka inspiruje się przeważnie tym, co widzi. W ciągu dnia, w trakcie podróży czy podczas wieczornego oglądania filmów bardzo uważnie przygląda się i obserwuje relacje innych ludzi. Chce, aby z jej tekstami mogło utożsamić się jak najwięcej osób, dlatego czasami stara się wcielić w jakąś postać, którą widzi. Oprócz tego pisze oczywiście także o swoich relacjach.

Jakiś czas temu Martyna Wrochna zasiliła szeregi wytwórni Sixty Seven Records, z którą rozpoczęła drogę do powstania debiutanckiej płyty. Jej dotychczasowe single trafiły na liczne playlisty Spotify, takie jak: New Music Friday Polska, Polskie Hity czy Polska EQUAL. Utwory artystki gościły również na antenach radiowych, m.in. w Radiu Eska czy RMF MAXX.

Martyna Wrochna tworzy muzykę z potrzeby zatrzymywania emocji i momentów, które łatwo mogłyby gdzieś przepaść. Jak sama mówi – chce śpiewać wszystkie swoje „myśli pisane", dopóki nie zapisze wszystkiego, co ma do powiedzenia.

eprasa.pl 8bb7115c0b

– Kiedy przeczytałem, że można usłyszeć Cię między innymi w Esce czy RMF MAXX, zrobiło to na mnie duże wrażenie.
– W RMF MAXX udało nam się pojawić jednorazowo, natomiast w Esce moje utwory są puszczane częściej. Oczywiście nie są to jeszcze bardzo częste emisje, ale sam fakt, że radio po nie sięga, jest dla mnie ogromnym sukcesem.

– W czasach serwisów streamingowych radio nadal ma dla młodego artysty znaczenie?
– Dla mnie zdecydowanie tak. Wcale nie jest łatwo dostać się do radia, szczególnie kiedy każdego dnia ukazują się setki nowych piosenek. Tym bardziej cieszę się, że jeden z moich pięciu wydanych dotychczas utworów został zauważony.

– Nie jesteś związana z żadną wielką wytwórnią.
– Nie. Współpracuję z niewielką wytwórnią Sixty Seven Records.

– Jak wygląda taka współpraca?
– Dla mnie jest naprawdę świetna. Wcześniej współpracowałam z producentem na zasadzie pojedynczych zleceń. Teraz jestem częścią zespołu ludzi, z którymi pracuję na co dzień. Mamy bardzo dobre relacje, wspólnie nagrywamy, gramy koncerty i wzajemnie się wspieramy.

– Czyli czujesz się tam dobrze.
– Bardzo dobrze. Współpracujemy na partnerskich zasadach i to jest dla mnie najważniejsze.

– Ilu artystów liczy obecnie Wasza wytwórnia?
– Na razie nie jest nas wielu. Z tego, co wiem, obecnie jestem jedyną wokalistką. Za to współpracuję z trzema świetnymi producentami – Jankiem, Matim i Danielem. Wszyscy są fantastycznymi muzykami i naprawdę świetnie nam się razem pracuje.

NA CO DZIEŃ NORMALNIE PRACUJĘ, WIĘC MUZYKA JEST DLA MNIE CZYMŚ DODATKOWYM. DZIĘKI TEMU MAM DO NIEJ ZDROWY DYSTANS.

– Wyobraźmy sobie teraz pewną sytuację. Gdybyś miała zostać supportem jednego polskiego artysty podczas całej trasy koncertowej, kogo byś wybrała?
– Chyba Darię Zawiałow.

– Spodziewałem się właśnie takiej odpowiedzi.
– Nie ukrywam tego. Bardzo ją cenię. Jest świetną artystką i myślę, że bardzo ciekawą osobą.

– Miałaś już okazję ją poznać?
– Niestety nie.

– Może kiedyś uda się Wam nawet nagrać wspólny utwór.
– Byłoby fantastycznie.

– Jednym z pierwszych słów, które przychodzą mi do głowy, gdy myślę o Tobie, jest naturalność. Nie widzę u Ciebie pogoni za liczbami, zasięgami czy viralami. Nie próbujesz budować popularności za wszelką cenę. Skąd bierze się taka postawa?
– Myślę, że duży wpływ ma na to miejsce, z którego pochodzę. Wychowałam się w niewielkim mieście i właśnie tam nauczyłam się takiego spokojnego podejścia do życia.

– Skąd dokładnie pochodzisz?
– Ze Zwolenia. Pozdrawiam wszystkich mieszkańców mojego rodzinnego miasta.

– Myślisz, że właśnie te korzenie sprawiają, że mimo lekkiego podejścia do życia twardo stąpasz po ziemi?
– Chciałabym powiedzieć, że zawsze tak jest, ale jeszcze cały czas się tego uczę. Uczę się stawiania granic, większej pewności siebie i tego, żeby czasami bardziej zaufać sobie. Powiem jednak szczerze, że podczas tej rozmowy czuję się wyjątkowo swobodnie.

– Pracujesz w Lasach Miejskich. Wszyscy w pracy wiedzą o Twojej muzycznej działalności?
– Tak. Ostatnio dowiedzieli się o tym między innymi dzięki radiu. Usłyszeli moje piosenki i zaczęli dopytywać.

WYCHOWAŁAM SIĘ W NIEWIELKIM MIEŚCIE I WŁAŚNIE TAM NAUCZYŁAM SIĘ SPOKOJNEGO PODEJŚCIA DO ŻYCIA.

– Wyobraźmy sobie, że Lasy Miejskie proponują Ci napisanie utworu promującego kontakt z naturą. Jak wyglądałaby taka piosenka?
– Myślę, że byłaby skierowana przede wszystkim do dzieci. Chciałabym zachęcić najmłodszych do odkładania telefonów i spędzania czasu w lesie. Pokazać im, że natura potrafi być naprawdę fascynująca.

– To bardzo dobry pomysł. Myślę, że świetnie odnalazłabyś się właśnie w takiej roli.
– Być może kiedyś uda mi się to zrealizować.

eprasa.pl 8bb7115c0b

FILM

Waszyngton i inni młodzi ludzie

W ostatnim dniu lipca na nasze ekrany wszedł amerykański film biograficzny „Młody Waszyngton". Za obraz odpowiada Jon Erwin, reżyser, scenarzysta i producent kojarzony przede wszystkim z kinem chrześcijańskim. Wspólnie z bratem Andrew Erwinem stworzył między innymi głośny swego czasu również u nas antyaborcyjny film „Każde życie jest cudem" („October Baby"). Tym razem skupia się na wycinku z życiorysu **jednego z ojców założycieli** Stanów Zjednoczonych.

Krzysztof Karnkowski

Fot. kadr z filmu

Droga Jerzego Waszyngtona do pozycji ojca założyciela była znacznie mniej oczywista, niż sugeruje późniejsza legenda. Nie otrzymał europejskiego wykształcenia ani oficerskiej promocji w regularnej armii brytyjskiej, o której długo marzył; karierę zaczynał jako geodeta, zdobywając doświadczenie na słabo rozpoznanych zachodnich terenach Wirginii. Jako bardzo młody oficer milicji kolonialnej uczestniczył następnie w konflikcie z Francją o dolinę Ohio. Misja dyplomatyczna z 1753 roku przyniosła mu pierwszą sławę, lecz już rok później dowodzona przez niego wyprawa zakończyła się starciem pod Jumo-

eprasa.pl 8bb7115c0b

nville Glen i upokarzającą kapitulacją w Forcie Necessity. Podczas ekspedycji generała Edwarda Braddocka w 1755 roku Waszyngton wykazał się natomiast odwagą i opanowaniem w obliczu katastrofalnej klęski Brytyjczyków. Właśnie ten okres – pełen ambicji, błędów, porażek i pierwszych dowódczych doświadczeń – stał się tematem filmu „Młody Waszyngton".

Zburzone pomniki

Jerzy Waszyngton (1732–1799), pochodzący z rodziny wirginijskich plantatorów oficer i właściciel ziemski, podczas wojny o niepodległość stanął na czele Armii Kontynentalnej, a po zwycięstwie nad Wielką Brytanią przewodniczył konwencji, która przygotowała amerykańską konstytucję. W 1789 roku został jednogłośnie wybrany na pierwszego prezydenta USA i przez dwie kadencje tworzył podstawowe reguły funkcjonowania nowego urzędu. Dobrowolne odejście po drugiej kadencji wzmocniło jeszcze jego wizerunek przywódcy, który stawia republikę ponad osobistą władzę. W czasach poprawności politycznej i popularności ruchu „Black Lives Matter" pomnikowy obraz „ojca narodu" skomplikowały jednak jego przynależność do elity plantatorskiej oraz wieloletnie korzystanie z pracy ludzi zniewolonych. Problem coraz mocniej zaznaczał się we współczesnych interpretacjach jego biografii. Podczas fali protestów po śmierci George'a Floyda w 2020 roku pomniki Waszyngtona były niszczone lub pokrywane napisami właśnie ze względu na jego udział w niewolnictwie, a czasem również jako symbol kolonializmu i przemocy wobec rdzennych mieszkańców. Najgłośniejszy przypadek zdarzył się w Portland w nocy z 18 na 19 czerwca: około dwudziestoosobowa grupa owinęła głowę posągu flagą USA, podpaliła ją, a następnie przewróciła monument. Relacje prasowe wiązały wybór Waszyngtona bezpośrednio z tym, że pierwszy prezydent był właścicielem niewolników. Nie był to przypadek odosobniony. W Chicago na pomniku Waszyngtona pojawiły się napisy „Slave Owner" i „Burn Down the White House", w Baltimore oblano go czerwoną farbą i dopisano „Destroy Racists", natomiast przy jego posągu w Filadelfii namalowano hasło „committed genocide". Erwin w to szaleństwo nie wchodzi, co zresztą nie podoba się części krytyki uważającej, że zbyt lekko prześlizguje się nad wątkami kłopotliwymi dla przepisujących historię w duchu współczesności.

DROGA WASZYNGTONA DO POZYCJI OJCA ZAŁOŻYCIELA BYŁA ZNACZNIE MNIEJ OCZYWISTA, NIŻ SUGERUJE PÓŹNIEJSZA LEGENDA.

Film swoich czasów

Zostawmy jednak fanów poprawności z ich obsesjami. „Młody Waszyngton" to bardzo klasyczny – dla mnie osobiście chyba odrobinę nawet zbyt powolny – film awanturniczy, stopniowo przeobrażający się w dziełko batalistyczne. Jerzy Waszyngton nie myśli tu jeszcze o Ameryce jako państwie, jego aspiracje obejmują służbę brytyjskiej koronie i wdarcie się do wyższych sfer pracą, wytrwałością i romantycznym porywem serca. Ponieważ jednak jego pozycja go do tego nie predestynuje, jeszcze przed pierwszą potyczką z czarnymi charakterami tej opowieści, Francuzami, stacza kolejne wojny i wygrywa bitwy, które nie są do wygrania, wchodząc na bal dla wyższych sfer, wstępując na służbę czy najmując się do pracy miernicze go. Od tej ostatniej tak naprawdę wszystko się zacznie, a z młodzieńczej awantury wybuchnie regularna wojna. Pokazana sprawnie i całkiem dynamicznie, choć według części krytyki jednak zbyt zachowawczo. Recenzenci doceniali wybór mało znanego okresu życia przyszłego prezydenta, solidną realizację, aktorstwo oraz widowiskowe sceny bitewne, uznając film za przystępną, ale też staromodną opowieść historyczną. Najczęściej zarzucano mu jednak szkolną ilustracyjność, patetyczne dialogi i spłaszczenie bohatera: Waszyngton popełnia błędy, ale scenariusz przedstawia je przede wszystkim jako kolejne próby przygotowujące go do przyszłej wielkości. Część krytyków określała film jako hagiografię lub patriotyczną czytankę, która zachowuje podstawowe fakty, lecz unika moralnej niejednoznaczności związanej z niewolnictwem, kolonializmem i odpowiedzialnością młodego oficera za eskalację wojny. Publiczność reagowała na tę afirmatywną formułę wyraźnie cieplej, chwaląc inspirujący charakter opowieści, historyczną scenerię i motyw dojrzewania przywódcy poprzez klęski. I choć nie sądzę, by Erwin do zrobienia takiego filmu potrzebował prezydentury Donalda Trumpa, w pewnym stopniu można go uznać za pewien symbol tych czasów. Nie ma tu ani dekonstrukcji, ani samobiczowania

eprasa.pl 8bb7115c0b

– nikt tu symbolicznie nie klęka i nie przeprasza. Umieszczenie przyszłego prezydenta niemal na początku jego drogi to ciekawy zabieg. Również dla twórcy, który może – w przypadku sukcesu – kontynuować swą opowieść, a Jon Erwin ma, jak się zdaje, takie plany. Następnym projektem ma być „1776" – opowiadający już o wojnie o niepodległość, z Waszyngtonem jako centralną postacią większej galerii ojców założycieli. I na tym twórca nie planuje kończyć, wręcz przeciwnie, uważa, że Amerykanom trzeba na nowo opowiedzieć ich historię. W duchu bardziej superbohaterskim niż krytycznym, a więc jakby wracając do czasów Ronalda Reagana, do których wrócić chciałby przecież i Trump.

PODCZAS FALI PROTESTÓW PO ŚMIERCI GEORGE'A FLOYDA W 2020 ROKU POMNIKI WASZYNGTONA BYŁY NISZCZONE LUB POKRYWANE NAPISAMI.

Młodzieńcze biografie

„Młody Waszyngton" wpisuje się w szeroki nurt filmów biograficznych, które zamiast opowiadać całe życie znanej postaci, koncentrują się na okresie jej formowania, zanim bohater zdobył władzę, sławę lub pozycję zapisaną później w podręcznikach. Jednym z klasycznych wzorów takiej opowieści jest „Młodość Lincolna" Johna Forda przedstawiająca przyszłego prezydenta jako prowincjonalnego prawnika, w którego codziennych decyzjach można już dostrzec sprawiedliwość, empatię i demokratyczny instynkt późniejszego przywódcy. Podobny mechanizm zastosowano w „Młodym Winstonie" opartym na autobiograficznej narracji Churchilla: dziecięca potrzeba uznania, wojskowe przygody i pierwsze sukcesy polityczne układają się w historię człowieka niemal od początku przekonanego o własnym przeznaczeniu. Oba filmy nie tyle demontują narodowe legendy, ile pokazują ich rzekome początki, wybierając z młodości te doświadczenia, które zapowiadają znaną już widzowi wielkość.

Inaczej młodość wykorzystują „Dzienniki motocyklowe". Film Waltera Sallesa cofa Ernesta Guevarę do czasu, gdy nie był jeszcze rewolucjonistą ani polityczną ikoną, lecz młodym lekarzem konfrontującym własne wyobrażenia z biedą i nierównościami Ameryki Łacińskiej. Jego podróż zostaje przedstawiona jako moment przebudzenia, zgodnie z zakłamanym mitem i pomijając późniejsze krwawe i niewygodne dla handlarzy tą ikoną działania Che. Jeszcze inny wariant reprezentują „Tolkien", „Mary Shelley" i „Zakochany Szekspir", w których młodość ma przede wszystkim tłumaczyć narodziny dzieł. W „Tolkienie" szkolne przyjaźnie, miłość i doświadczenie wojny zostają przedstawione jako źródła późniejszej mitologii Śródziemia; niemal każdy epizod biografii zapowiada jakiś motyw znany z książek pisarza. „Mary Shelley" wyprowadza „Frankensteina" z doświadczeń straty, odrzucenia i walki młodej kobiety o prawo do własnego autorstwa. „Zakochany Szekspir", choć nie jest ścisłą biografią, czyni z fikcyjnego romansu młodego dramaturga emocjonalne źródło „Romea i Julii". W takich filmach twórczość przestaje być rezultatem długiej pracy, lektur i wpływów epoki, a staje się niemal bezpośrednim zapisem przeżyć bohatera. To atrakcyjny dramaturgicznie, lecz często nadmiernie upraszczający sposób opowiadania o artyście.

NIE MA TU ANI DEKONSTRUKCJI, ANI SAMOBICZOWANIA – NIKT TU SYMBOLICZNIE NIE KLĘKA I NIE PRZEPRASZA.

Klasyczna opowieść

Na tym tle „Młody Waszyngton" znajduje się najbliżej „Młodości Lincolna" i „Młodego Winstona", a więc filmów mających swoje lata. Także tutaj punkt wyjścia stanowi próba uczłowieczenia postaci zastygłej w narodowej ikonografii: przyszły „ojciec narodu" zostaje pokazany jako ambitny, niedoświadczony i popełniający błędy młody oficer. Film nie prowadzi jednak do rzeczywistej demitologizacji, ponieważ każdą porażkę interpretuje jako lekcję przygotowującą bohatera do przyszłego przywództwa. Historia Waszyngtona zostaje uporządkowana zgodnie ze znanym finałem: pycha prowadzi do pokory, klęska do odpowiedzialności, a wojskowe niepowodzenia do narodzin wodza. Jest to więc biografia polityczna, budująca wspólnotę, ale i lekko moralizująca. Łatwo takie pomysły położyć, ale tym razem chyba się udało zrobić całkiem atrakcyjny film.

„Młody Waszyngton" (Young Washington), reżyseria: Jon Erwin, scenariusz: Jon Erwin, Diederik Hoogstraten, obsada: William Franklyn-Miller, Mary-Louise Parker, Andy Serkis, Ben Kingsley, gatunek: historyczny dramat wojenny, produkcja: USA 2026, czas: 121 minut.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Kiedy muzyka złamała dyktat cenzury.

45 lat od I Przeglądu Piosenki Prawdziwej

W sierpniu 1981 roku gdańska Hala Olivia stała się stolicą niezależnej polskiej kultury. W reakcji na dekady państwowego monopolu informacyjnego i kneblowania twórców wolne słowo wybrzmiało z potężną siłą na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki".

Konrad Wernicki

DZIŚ, W 45. ROCZNICĘ TAMTEGO HISTORYCZNEGO zrywu, rocznicowy koncert Antoniny Krzysztoń w Sali BHP Stoczni Gdańskiej przypomni o sile artystycznego przekazu, który dawał Polakom nadzieję w najtrudniejszych momentach.

Karnawał wolności w Hali Olivia

Lato 1981 roku było czasem bezprecedensowym. Trwający od sierpnia 1980 roku tzw. Karnawał Solidarności przyniósł polskiemu społeczeństwu przestrzeń wolności, o jakiej rok wcześniej nikt nie odważyłby się głośno marzyć. Jednym z najważniejszych wymiarów tej emancypacji stała się kultura niezależna.

W dniach 20–22 sierpnia 1981 roku w gdańskiej Hali Olivia zorganizowano I Przegląd Piosenki Prawdziwej pod wymownym podtytułem „Zakazane Piosenki".

Przegląd był fenomenem na skalę całego bloku wschodniego. Utwory, które dotąd funkcjonowały w drugim obiegu – na domowych magnetofonach, w podziemnych wydawnictwach kasetowych czy podczas prywatnych spotkań – nagle wybrzmiały ze sceny przed wielotysięczną publicznością. Byli to artyści, których oficjalna cenzura (GUKPPiW) próbowała wymazać z przestrzeni publicznej.

Na scenie Olivii pojawili się boczni i czołowi bardowie niezależnej sceny, jak Jacek Kaczmarski czy Jak Pietrzak. Symbolem satyrycznego i bezkompromisowego charakteru festiwalu stała się przyznawana przez organizatorów i publiczność nagroda „Złotego Knebla", stanowiąca cenzorski i humorystyczny komentarz do realiów PRL-u.

Fot. arch. IPN Gdańsk

Subtelny głos w burzliwych czasach

To właśnie w sierpniu 1981 roku na festiwalowej scenie w Hali Olivia doszło do jednego z najbardziej poruszających artystycznych debiutów tamtego okresu. Wśród politycznych bardów, ostrych satyryków i podniosłych pieśni protestu pojawiła się młoda pieśniarka – Antonina Krzysztoń.

Jej występ wyróżniał się zupełnie inną, unikalną dynamiką. Podczas gdy wielu wykonawców stawiało na publicystyczny gniew czy polityczny rozrachunek, Krzysztoń przyniosła ze sobą głęboką liryczność, duchowość i poetycką wrażliwość. Jej śpiew – intymny, prosty, przesycony poszukiwaniem prawdy moralnej i duchowej – udowodnił, że „piosenka prawdziwa" to nie tylko polityczny protest, ale przede wszystkim autentyzm i wewnętrzna wolność człowieka.

Koncert w Sali BHP Stoczni Gdańskiej

W 45. rocznicę I Przeglądu Piosenki Prawdziwej spuścizna tamtych sierpniowych dni powraca do Gdańska. 22 sierpnia w wyjątkowej przestrzeni historycznej odbędzie się rocznicowy koncert Antoniny Krzysztoń.

Bilety na koncert dostępne są na biletyna.pl

eprasa.pl 8bb7115c0b

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **11 SIERPNIA** zdarzyło się:

1942 – we wsi Jasienica Rosielna na Podkarpaciu gestapowcy i ukraińscy SS-mani dokonali masakry około tysiąca Żydów;

1966 – podczas zwołanej w Chicago konferencji prasowej John Lennon przeprosił za swoją wcześniejszą wypowiedź, że The Beatles są popularniejsi od Jezusa Chrystusa.

ZADWÓRZE
polskie Alamo z roku 1920

„Wieczorem atak koło folwarku. Pobojowisko. Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców, Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął – dlaczego nie; odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali bagnetami, dostrzeliwali, trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot, to nasz szwadron szedł do natarcia, Apanasenko z boczku, szwadron przyodział się jak należy, pod Matusewiczem zabito konia, więc biegnie ze straszną, brudną twarzą, szuka sobie wierzchowca. **Piekło**" – zapisał w „Dzienniku 1920" Izaak Babel pod datą 18 sierpnia. Pisarz służył w 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego, która miała zająć Lwów.

Sebastian Reńca

Niecały miesiąc później, gdy bolszewickie dywizje cofały się na wschód pod naporem polskiego wojska, na polu bitwy pod Zadwórzem był również reporter „Słowa Polskiego", który usłyszał od tamtejszej mieszkanki:

– Nigdy nie zapomnę tej strasznej chwili. We wtorek, 17 sierpnia, w południe zalała Zadwórze masa kawalerii Budionnego. Zjawiła się od strony Kutkorza, szła traktem kolejowym i rychło, jak oko daleko sięgało, zalała okoliczne ścierniska i łąki.

Według rozmówczyni dziennikarza bolszewików mogło być około 4 tys. Dalej relacjonowała:

– Z lasu położonego na wschód od Zadwórza poczęły wynurzać się przednie straże żołnierzy polskich, a za nimi większy oddział w tyralierach rozrzucony. Oddział ten, jak się zdaje, chciał się przebić przez owe masy kawalerii bolszewickiej i już doszedł do dworca w Zadwórzu i w obręb fabryki, tuż obok się znajdującej. W tej chwili znikli jeźdźcy bolszewicy, pozostawieni na pagórku na straży i po jakimś kwadransie, gdy oddziały nasze były koło budki numer 287 oddalonej o dwa kilometry od Zadwórza w kierunku Lwowa, masa kawalerii bolszewickiej zawróciła z południa i bezzwłocznie ruszyła szarżą na naszą piechotę, od frontu ją atakując.

GDY BOLSZEWICKIE DYWIZJE COFAŁY SIĘ NA WSCHÓD POD NAPOREM POLSKIEGO WOJSKA, NA POLU BITWY POD ZADWÓRZEM BYŁ RÓWNIEŻ REPORTER „SŁOWA POLSKIEGO".

Padły strzały, najpierw pojedyncze, później masowe, bolszewicy szarżowali raz za razem...

Po bitwie komisarz bolszewicki, który kwaterował w domu rodzinnym rozmówczyni dziennikarza, rozdawał kozakom nagrody za każdego zabitego pod Zadwórzem polskiego żołnierza.

Bolszewicy dobijali rannych

Gdy reporter „Słowa Polskiego" był na polu bitwy pod Zadwórzem, akurat trwały prace ekshumacyjne, zabitych obrońców miasta przenoszono do zbiorowej mogiły, przy okazji dokonując identyfikacji zwłok, których miano odnaleźć 318.

Młoda dziewczyna, która zanim wstąpiła do armii, studiowała, przyjechała na miejsce bitwy, by nie tylko oddać hołd poległym kolegom, ale po to, by ich również rozpoznać.

eprasa.pl 8bb7115c0b

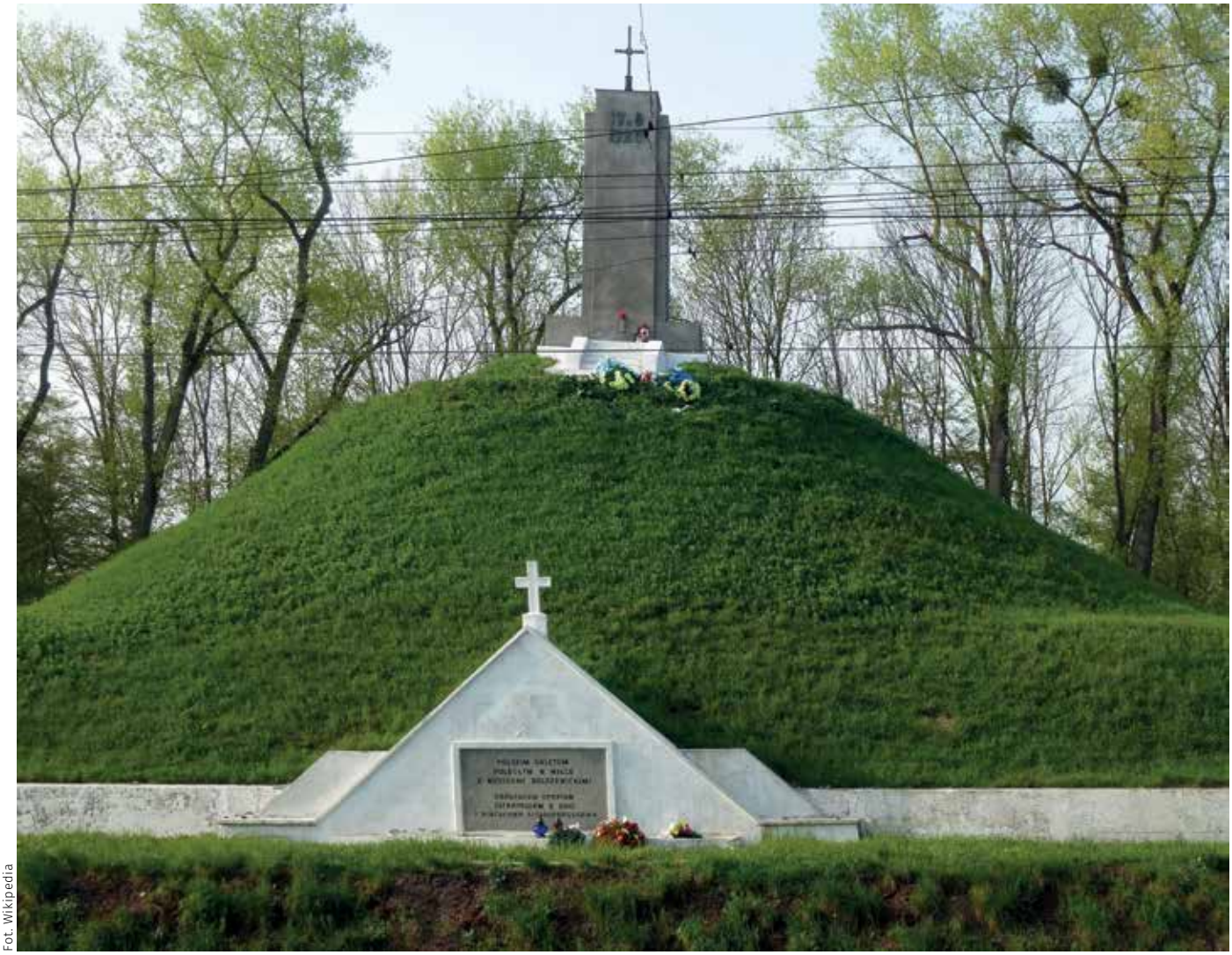

Fot. Wikipedia

Pomnik polskich bohaterów bitwy pod Zadwórzem na usypanym 20-metrowym kurhanie

– Widok moich towarzyszy broni, których tak dobrze znałam, jest wprost straszny. Rozpoznanie zwłok niemożliwe. Widziałam wszystkich, przeważnie ich twarze przedstawiają jedną krwawą masę ciała, oczy powybijane, na twarzach po kilka cięć szabli, ciała okropnie zmasakrowane – mówiła ochotniczka mająca w polskiej armii stopień podchorążego. – Po wielkim trudzie zdołałam ustalić zwłoki śp. kapitana Bolesława Zajączkowskiego, podchorążego Władysława Marynowskiego i kaprala Stefana Gromnickiego. Zwłoki odarte i ograbione, okryte ranami od cięć szabel kozackich, porzucone twarzą w dół, są nie do poznania.

Nawet jeżeli któryś z polskich obrońców Lwowa przeżył kolejne szarże i ranny leżał na polu bitwy, mógł zostać dobity na miejscu. Opowiadał o tym wysłannikowi „Słowa Polskiego" jeden z chłopów, którego bolszewicy zagnali do grzebania poległych.

– Zbliżyłem się do zwłok żołnierza, aby je pochować. Wzdrygnąłem się, żołnierz był ranny, miał rany na ręce i nodze obandażowane. Żołnierz, zobaczywszy mnie z łopatą nad sobą, ocknął się nagle i głosem słabym mówi: „Nie grzebać mnie, żyw jestem".

Stojący obok bolszewik zbliżył się do rannego i mówiąc, że i ten zaraz będzie martwy, strzelił do rannego trzykrotnie.

Matka Nieznanego Żołnierza

W II Rzeczypospolitej pamiętano o bitwie pod Zadwórzem, która przeszła do historii jako polskie Termopile. Przez dwie dekady pamiętano o Lwowskich Orlętach z 1920 r. Jeszcze we wrześniu tamtego roku ciała pięciu żołnierzy (niektórzy piszą, że było ich siedmiu), którzy polegli pod Zadwórzem, pochowano

eprasa.pl 8bb7115c0b

na Cmentarzu Orląt. Młodzież pielgrzymowała na miejsce bitwy, gdzie leżały szczątki obrońców polskiego miasta, działało też Stowarzyszenie Uczestników Bitwy pod Zadwórzem, którzy również brali udział w defiladach z okazji Święta Niepodległości. Po II wojnie światowej pamięć o „lwach z Zadwórza" zmalała, bo nie można było pamiętać o tych, którzy pod Lwowem bohatersko stawili czoła nawale bolszewickiej prącej na Zachód. Zaczęto o nich mówić dopiero po 1989 r. Wtedy to np. na jednej z kolumn Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, wśród tablic z pól bitewnych, umieszczono w końcu Zadwórze.

Z Zadwórzem i Grobem Nieznanego Żołnierza wiąże się jeszcze jedna historia, ale z 1925 r. Wówczas ustalono, że bezimienny żołnierz zostanie ekshumowany z Cmentarza Orląt we Lwowie. „Z głębi cmentarza, spod nowej kaplicy Obrońców Lwowa nadeszła pani Jadwiga Zarugiewiczowa, jedna z tych, która na polach Zadwórza straciła syna i jego mogiły nie odnalazła, i ta, kładąc na jednej trumnie drżącą ze wzruszenia dłoń – wybrała zwłoki, które mają być symbolem ofiarnego poświęcenia za Ojczyznę. Los padł na tego, który żadnej szarży nie miał, a tulił u boku swą starą maciejówkę, z białym orłem sczerniałym od wilgoci. Zginął on na polu walki, o czym świadczyła czaszka przedziurawiona przez kulę i noga od strzału złamana. Maciejówka wskazywałaby na to, że był to ochotnik, którego serce powołało na pole walki, by spełnić swój obowiązek względem Ojczyzny" – tak wyglądał moment wyboru polskiego bohatera bez imienia opisany w książce „W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich".

Konstanty Zarugiewicz, zwany przez kolegów Kostkiem, nie miał jeszcze 20 lat, gdy zginął pod Zadwórzem, obsługując ciężki karabin maszynowy. Leon Karol Koesler tak wspominał bohatera spod polskich Termopil:

„Pod Kozłowem jeszcze wydębił gdzieś Kostek koła wraz z dyszlem z chłopskiego wozu. Na nich umocował swoją maszynkę, umieszczoną w beczce bez dna. Jak się ogólnie spodziewano, przyrząd ten miał podczas strzelania dawać efekty akustyczne, które napawać miały bolszewików przerażeniem. W istocie jednak po pierwszej serii, oddanej na próbę, omal nam samym bębenki w uszach nie popękały. Wobec tego beczkę usunięto, natomiast maszynka na kołach ciągnionych przez małego konika była odtąd chlubą pierwszej kompanii ciężkich karabinów maszynowych".

KONSTANTY ZARUGIEWICZ, ZWANY PRZEZ KOLEGÓW KOSTKIEM, NIE MIAŁ JESZCZE 20 LAT, GDY ZGINĄŁ POD ZADWÓRZEM, OBSŁUGUJĄC CIĘŻKI KARABIN MASZYNOWY.

HISTORYCY NIE SĄ ZGODNI ANI CO DO LICZBY POLSKICH OBROŃCÓW LWOWA, ANI LICZBY ATAKUJĄCYCH ICH BOLSZEWIKÓW.

W 480 roku p.n.e. 300 Spartan walczyło z tysiącami agresorów. Bitwa zakończyła się klęską Greków, ale ich heroiczna walka stała się symbolem oporu. Heroiczną bitwę stoczyło też 200 teksańskich obrońców Alamo, na których nacierało ok. 3 tys. żołnierzy meksykańskich w roku 1836. Wszyscy obrońcy fortu wtedy zginęli. Podobnie było w 1920 r. pod Zadwórzem, który leży nieco ponad 30 km od Lwowa. Tam około 400 żołnierzy ochotników z Detachementu (oddział wydzielony Wojska Polskiego) rotmistrza Romana Abrahama odpierało atak jednej z dywizji I Armii Konnej Budionnego w sile około 2 tys. ludzi. Historycy nie są zgodni ani co do liczby polskich obrońców Lwowa, ani liczby atakujących ich bolszewików, szacunki wahają się od 350 ochotników do ok. 400 oraz od 2 do 3 tys. bolszewików. Podobnie jest w przypadku poległych – w pamięci pozostaje 318, ale są głosy mówiące o tym, że było ich mniej.

Jak ziarnka piasku

Grzegorz Hetnar, Stanisław M. Jankowski – autorzy pracy „Powrót żołnierzy Zadwórza. Polskie Termopile" – zebrali liczne relacje uczestników tej nierównej walki.

17-letni gimnazjalista Stefan Łuczyński wspominał, że w końcu on i inni obrońcy musieli się cofać pod naporem atakujących. Wtedy ich fortecą, swoistym Alamo, stała się budka kolejowa. „Rannych, zabitych coraz więcej. Ostatni nasz karabin maszynowy zamilkł. Stojący przy mnie por. Liszka strzela z Browninga. Ostatni nabój zostawił sobie,

eprasa.pl 8bb7115c0b

zastrzelił się, by nie dostać się ręce bolszewików. Moją uwagę zwróciło gromkie «urra», to bolszewicy wdarli się między naszych po drugiej stronie budki, gdzie leży kapitan Zajączkowski ze straszliwie strzaskaną szczęką. Rozpoczyna się nie rzeź, ale dosłownie masakra. Całym gradem do wnętrza budki zaczęły lecieć granaty, rozrywając naszych chłopców na sztuki. Uderzony kolbą w plecy przewróciłem się, udając zabitego".

CAŁYM GRADEM DO WNĘTRZA BUDKI ZACZĘŁY LECIEĆ GRANATY, ROZRYWAJĄC NASZYCH CHŁOPCÓW NA SZTUKI.

Starszy szeregowy Tadeusz Pikor opisywał, że polskich ochotników zasypał ze strony bolszewickich pozycji grad kartaczy, szrapneli, granatów i pocisków. Pomimo tego była nadzieja, że jego oddział zdobędzie armaty przeciwnika. Jednak otoczyli ich kozacy. Jeden z nich strzelił do Pikora i trafił go w pierś. Żołnierz zachwiał się i padł na kolana, ale dał radę jeszcze oddać strzał w kierunku kozaka, który go ranił. „Kolega Szul odebrał mi i wyrzucił do bagna karabin i słaniającego się przyprowadził do budki, gdzie przy pomocy innych obandażował. Kazałem mu uciekać, sam tracąc na pół przytomność po przyjściu bolszewików, którzy zdrowych zabrali, mnie zaś rannego wepchnęli do stajni, gdzie leżałem całą noc, brocząc krwią i charcząc" – wspominał polski żołnierz. Na drugi dzień jego oraz dwóch innych żołnierzy bolszewicy wyprowadzili na pobojowisko. Jeden z nich z cynizmem oznajmił im: „Chcieliście królestwa polskiego, to będziecie mieli niebieskie".

Przypadek sprawił, że cała trójka ocalała. Kozacy zostali odwołani przez oficera. Ich zaprowadzono do wsi, gdzie byli też inni jeńcy.

Inny młody ochotnik, który przeżył hekatombę, opisywał, że w pewnym momencie bitwy zrobiło się ogromne zamieszanie, a kozacy wdarli się na lewe skrzydło i siali śmierć. „Nic nie było można usłyszeć, tylko nieregularne strzały, szczęk szabel i jęk rannych przeplatane wyciem kozactwa. Jednym słowem zostaliśmy otoczeni ze wszystkich stron i prawie pogubiliśmy się między kozactwem jak ziarnko piasku w morzu. Wszyscy legli pokotem, poćwiartowani szablami dziczy kozackiej, składając młode życie w ofierze Ojczyzny. Z wyjątkiem nas paru, żeśmy uniknęli cudem śmierci, dostając się do niewoli na samym dworcu w Zadwórzu".

O zamieszaniu w szeregach obrońców Zadwórza wspominał również Emil Dudzic: „Zaczęła się nam wyczerpywać amunicja, a co najgorsza brak wody i ciągle zacinanie się karabinów maszynowych przyczyniło się do naszej klęski. Zrobiło się straszne zamieszanie; krzyk rannych, szczęk szabel, kwik koni robiły wrażenie sądu ostatecznego. Każdy zaczął bronić się na własną rękę. Rozpalone karabiny zaczęły zacinać się i parzyć ręce, w żaden sposób nie można było operować karabinem".

JEDEN Z NICH Z CYNIZMEM OZNAJMIŁ IM: „CHCIELIŚCIE KRÓLESTWA POLSKIEGO, TO BĘDZIECIE MIELI NIEBIESKIE".

17-letni ochotnik Grzegorz Fedorec widział, jak kpt. Zajączkowski strzelił sobie z głowę. On sam został ranny pociskiem karabinowym. Leżąc na polu bitwy, widział, podobnie jak Babel, bolszewików grabiących poległych polskich żołnierzy.

„Bolszewicy wracają po zwycięskiej walce, odzierają rannych z mundurów i szablą lub bronią palną, strzelając z bliska, dobijają ich. Dwóch kozaków, ujrzawszy, że ruszam głową, zbliżyło się w moim kierunku, jeden z nich z odległości 4–5 kroków wymierzył z karabinu". Nabój jednak nie wypalił, inny kozak, który akurat do nich podjechał, pochylił się nad rannym Polakiem, chwycił go za bluzę mundurową i z całej siły uderzył go pistoletem w twarz.

Fedorec ostatkiem sił złapał w dłonie Naganta, kozak zdołał pociągnąć za spust. Pocisk przeszył ucho żołnierza, który padł na ziemię i udał martwego.

W akcie pamiątkowym zakopanym w zbiorowej mogile poległych w bitwie pod Zadwórzem napisano m.in.: „Aby zaś pamięć tego Bohaterskiego Ich czynu uczcić widomym znakiem, któryby po wieczne czasy świadczył potomnym pokoleniom, jak kochał i ginął za Polskę Polski Żołnierz – Ochotnik, postanowiliśmy miejsce ich ostatniego spoczynku ozdobić pomnikiem, pod którego fundamentem składamy niniejsze pismo". Pomnik tych, którzy bronili nie tylko polskiego Lwowa, ale też odrodzonej po ponad 100 latach Polski, stanął na kurhanie i stoi do dzisiaj. Parafrazując epitafium upamiętniające bohaterstwo Spartan, można napisać: Przechodniu, powiedz Polsce, że leżymy tutaj posłuszni jej prawom.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Błąd w kodzie systemu.

Jak święty z Niepokalanowa

POKONAŁ LOGIKĘ AUSCHWITZ

Zbudował medialne imperium. Miał najnowocześniejsze maszyny drukarskie, własną bocznicę kolejową i plany lotniska. Hearst i Pulitzer mogliby uczyć się od niego zarządzania uwagą mas. A jednak ten franciszkański wizjoner przeszedł do historii nie z powodu milionowych nakładów swoich pism, lecz dzięki jednemu krokowi na żwirowym placu. Św. Maksymilian Kolbe **wymyka się schematom**. Zrozumiał dwudziesty wiek, zanim ten zdążył pokazać swoje najgorsze oblicze.

Patryk Stanik

Mija 85 lat od sierpniowego dnia, w którym numer 16670 przestał oddychać w podziemiach bloku 11. niemieckiego obozu zagłady Auschwitz. Niby dobrze znamy tę historię, ale bywała ona wygładzana, oprawiana w ramki i wstawiana do gabloty z pobożnymi obrazkami. A przecież Maksymilian Maria Kolbe nie był postacią z witraża. Był wizjonerem o umyśle inżyniera, twardym negocjatorem i twórcą medialnego konglomeratu, który zadziwiłby pewnie nawet Williama Randolpha Hearsta. Z tą różnicą, że Hearst budował dla zysku. Kolbe budował dla Niepokalanej.

Ewangelia z maszyny rotacyjnej

Aby pojąć fenomen franciszkanina, trzeba cofnąć się do roku 1927. Książę Jan Drucki-Lubecki przekazuje zakonnikowi kawałek szczerego pola w majątku Teresin pod Warszawą. Ziemia jest jałowa. Kolbe stawia tam figurę Matki Bożej. A potem zaczyna wznosić miasto. Niepokalanów nie przypominał tradycyjnego klasztoru z sennymi krużgankami. Przypominał raczej fabrykę Forda skrzyżowaną z redakcją nowojorskiego dziennika.

Kolbe pojął, że w XX wieku Ewangelia potrzebuje nośnika. Słowo musi stać się drukiem, falą radiową, obrazem. W latach 30. jego „Rycerz Niepokalanej” osiągał nakłady rzędu miliona egzemplarzy. „Mały Dziennik” dyktował warunki na rynku prasy codziennej. Franciszkanie pracowali na trzy zmiany przy najnowocześniejszych maszynach rotacyjnych sprowadzanych z zagranicy. Mieli własną straż pożarną, własną bocznicę kolejową, a nawet plany budowy lotniska. Kolbe uruchomił stację radiową i myślał o kinematografii. Przewidział telewizję. Fakt, że w latach 90., pół wieku po jego śmierci, mogła wystartować Telewizja Niepokalanów, stanowił jedynie odroczoną realizację jego przedwojennych szkiców. To w kolejnych wcieleniach tamtego kanału doświadczenia telewizyjnego nabierali tacy dziennikarze jak Bogdan Rymanowski, Krzysztof Ziemiec czy Marek Pyza, a do kryzysu finansowego w 2008 roku jej mniejszościowym udziałowcem był nawet australijski magnat medialny Rupert Murdoch.

Kolbe był w tym wszystkim na wskroś nowoczesny. Nie bał się techniki i rozumiał, że kto kontroluje rotacyjną maszynę drukarską, ten kształtuje dusze.

A potem przyszła wojna.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fot. Wikimedia Commons

O. Maksymilian Kolbe, 1936 r.

Błąd w kodzie Zagłady

Koniec lipca 1941 roku. Z obozu Auschwitz ucieka więzień. Karl Fritzsch, zastępca komendanta, stosuje regulaminową odpowiedzialność zbiorową (ówcześni Niemcy byli narodem, który potrafił zapisać okrucieństwo jako punkt regulaminu...). Dziesięciu za jednego. Podczas apelu na obozowym placu wskazany palcem Franciszek Gajowniczek płacze, wspomina żonę i dzieci. I wtedy dzieje się coś, co łamie całą logikę totalitarnej maszyny. Z szeregu występuje więzień. Chce zająć miejsce skazańca.

Niemcy byli zdezorientowani. System obozowy zakładał redukcję człowieka do numeru, do instynktu przetrwania. Akt dobrowolnej ofiary stanowił w tym miejscu błąd w kodzie. Kolbe poszedł do bunkra głodowego. Przez dwa tygodnie franciszkanin przeprowadzał skazańców na drugą stronę. Czternastego sierpnia, w wigilię Wniebowzięcia, oprawcy stracili cierpliwość. Hans Bock, więzień funkcyjny, wstrzyknął mu w ramię kwas karbolowy. Kolbe zmarł z otwartymi oczami.

Czerwień męczennika i salonowe szepty

Proces beatyfikacyjny ruszył po wojnie, ale wymagał czasu. 17 października 1971 roku papież Paweł VI ogłosił Kolbego błogosławionym. Uznano heroiczność cnót, ale prawo kanoniczne tamtego czasu rezerwowało tytuł męczennika dla tych, którzy zginęli z powodu nienawiści do wiary, a nie z powodu miłości do bliźniego. Dopiero św. Jan Paweł II przeciął ten teologiczny węzeł. 9 października 1982 roku na Placu Świętego Piotra papież z Polski kanonizował franciszkanina w czerwonych szatach męczennika. Na placu stał ocalony Gajowniczek.

I właśnie wtedy, w okolicach roku 1982, gdy Rzym przygotowywał się do kanonizacji, na zachodnich salonach podniósł się szmer. Szmer przerodził się w oskarżenia.

Zaczęło się w prasie anglosaskiej. Richard Cohen na łamach „Washington Post" uznał kanonizację za niewłaściwą. Stwierdził, że Kolbe tworzył środowisko sprzyjające Holokaustowi. Christopher Hitchens, z typową dla siebie publicystyczną brawurą, napisał w „The Nation", że franciszkanin pasowałby raczej do Inkwizycji i że sam podkładał ogień pod piece, w których później spłonął.

Zarzuty opierały się na lekturze przedwojennych pism wydawanych w Niepokalanowie. Wskazywano, że na łamach „Małego Dziennika" pojawiały się odniesienia do „Protokołów mędrców Syjonu" i tezy o żydowsko-masońskim spisku.

Szarża Johna Grossa

Również niejaki John Gross w „The New York Review of Books" zarzucał Kolbemu prowadzenie nieustępliwej

eprasa.pl 8bb7115c0b

kampanii antysemickiej. Robił to zresztą przez łączenie krytyki syjonizmu z antysemityzmem, będąc być może prekursorem chwytu retorycznego używanego powszechnie także dzisiaj. Co ciekawe, nawet autorka recenzowanej wtedy przez Grossa książki odcięła się od jego interpretacji. W liście do redakcji napisała wręcz, że tekst, na który oboje się powołują, wskazuje raczej na „*brak* antysemityzmu" [wyróżnienie autorki – przyp. red.] u Kolbego, a nie na jego rzekomy antysemityzm.

Fakty przeciwko oszczerstwom

Obrona przyszła szybko i opierała się na faktach, a nie na wyrwanych z kontekstu cytatach. Warren Green, dyrektor Centrum Badań nad Holokaustem w St. Louis, oraz profesor Daniel Schlafly z tamtejszego uniwersytetu odpowiedzieli Grossowi wprost. Przeanalizowali źródła. Z ponad 10 000 zachowanych listów i blisko 400 innych pism Kolbego zaledwie 31 tekstów w ogóle wspomina o Żydach. Ich treść ma charakter niemal wyłącznie duchowy. Kolbe był misjonarzem. Chciał nawracać. Modlił się za grzeszników, schizmatyków, Żydów i masonów. Masoneria była zresztą jego głównym celem polemicznym od 1917 roku, kiedy to w Rzymie obserwował antykatolickie demonstracje lóż zorganizowane na rocznicę publikacji 95 tez Lutra (1517) i powstania Wielkiej Loży Londynu (1717).

Kolbe był człowiekiem swoich czasów. Funkcjonował w realiach II Rzeczypospolitej, gdzie napięcia ekonomiczne i narodowościowe były częścią codzienności. Wydawał prasę katolicką, polską. Bronił interesów katolickich. Ale nigdy nie przekroczył granicy nienawiści. W liście do ojca Mariana Wójcika, redaktora „Rycerza", pisał wyraźnie, by przy poruszaniu kwestii żydowskich uważać, aby nie wzbudzać ani nie potęgować nienawiści u czytelników. Odcinał się od skrajnych szowinistów, takich jak ksiądz Stanisław Trzeciak, odmawiając publikacji jego tekstów.

Prawdziwy test przyszedł jednak jesienią 1939 roku. Kiedy wybuchła wojna, a Niemcy zaczęli wysiedlać ludność, Niepokalanów otworzył bramy. Klasztor przyjął około 3000 uchodźców. Połowę z nich stanowili Żydzi.

To jest moment, po którym oskarżenia Grossa czy Hitchensa stają się groteskowe. Człowiek rzekomo przygotowujący grunt pod Holokaust dzieli się swoimi zapasami z 1500 Żydów. Diana Dewar w swojej książce opisuje Boże Narodzenie 1939 roku w Niepokalanowie. Franciszkanie otoczyli uchodźców opieką. Zorganizowali dla Żydów specjalne obchody Nowego Roku, by zrekompensować im chrześcijańskie święta. Patricia Treece przywołuje zeznania Rozalii Kobli, mieszkającej w pobliżu klasztoru. Kiedy Żydzi prosili ją o chleb, poszła do ojca Maksymiliana z pytaniem, czy w sumieniu może im pomagać. Odpowiedź Kolbego była krótka. Należy to robić, bo każdy człowiek jest naszym bratem.

Zarzucanie mu antysemityzmu to ahistoryczny dyletantyzm. Kolbe widział w Żydach dusze stworzone przez Boga. Nie rasy czy kategorie polityczne. Dusze. Kiedy w Auschwitz spotkał trzynastoletniego żydowskiego chłopca, przytulił go, otarł mu łzy i podzielił się z nim swoją (niewielką przecież) racją żywnościową. Tak nie zachowuje się ideolog nienawiści. Tak zachowuje się święty.

Żyjemy w epoce, która ceni dekonstruowanie symboli. Sprawa oskarżeń z 1982 roku pokazuje mechanizm tej dekonstrukcji. Wzięto publicystykę z lat 30., zignorowano ówczesny kontekst społeczny, pominięto całkowicie czyny z lat 1939–1941 i wydano wyrok. Na szczęście historia opiera się na faktach, a nie na felietonach z „Washington Post".

Cisza głośniejsza niż druk

Maksymilian Kolbe pozostaje postacią niewygodną. Dla dzisiejszych mediów jest wyrzutem sumienia, bo udowodnił, że można budować potęgę wydawniczą bez schlebiania najniższym instynktom. Dla krytyków Kościoła jest solą w oku, bo jego ofiara w Auschwitz rozbija narrację o rzekomej obojętności duchowieństwa wobec zła.

Zrozumiał mechanizmy nowoczesności szybciej niż inni. Zbudował medialny konglomerat. A potem, w decydującym momencie, odrzucił całą tę potęgę, by ocalić nieznajomego człowieka – bliźniego. W tym tkwi największy paradoks Niepokalanowa. Najgłośniejsze dzieło medialne w historii Kościoła w Polsce XX w. znalazło swoje zwieńczenie w absolutnej ciszy głodowego bunkra. Ciszy, która po 85 latach wciąż brzmi głośniej niż pracujące na pełnych obrotach maszyny drukarskie.

NAJGŁOŚNIEJSZE DZIEŁO MEDIALNE W HISTORII POLSKIEGO KOŚCIOŁA ZNALAZŁO SWOJE ZWIEŃCZENIE W ABSOLUTNEJ CISZY GŁODOWEGO BUNKRA.

eprasa.pl 8bb7115c0b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Powstańcy warszawscy zamordowani na Rakowieckiej

W katowni UB przy ul. Rakowieckiej w Warszawie komuniści represjonowali i mordowali także żołnierzy Powstania Warszawskiego. Potem zrzucali ich do bezimiennych dołów śmierci na powązkowskiej „Łączce". Do dziś udało się odnaleźć szczątki ppłk. Stanisława Kasznicy czy mjr. Bolesława „Żmudzina". Wciąż czekamy na identyfikację kolejnych, w tym rtm. Witolda Pileckiego.

Mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin" – oficer Policji Państwowej II RP, cichociemny, w godzinie „W" z balkonu kamienicy przy Placu Dąbrowskiego zaczął strzelać z rewolweru do niemieckich żandarmów, co przypłacił ranami ręki i nogi (łącznie w Powstaniu czterokrotnie ranny). Przez 63 dni walk dowodzona przez niego reduta obejmująca ulice: Królewską, Kredytową i pl. Małachowskiego została utrzymana. 4 sierpnia poprowadził czwarty, wciąż nieudany, atak na gmach PAST-y (Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej). 27 sierpnia 1944 r. odznaczony Krzyżem Walecznych (trzecim w swoim życiu), a 15 września 1944 r. Virtuti Militari. Po ciężkim, wieloletnim śledztwie powieszony przez komunistów 2 stycznia 1953 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej.

Kawalerem Virtuti Militari i Krzyża Walecznych (dwukrotnie) był również ostatni komendant Narodowych Sił Zbrojnych ppłk Stanisław Kasznica „Wąsowski". Ten przedwojenny prawnik i działacz narodowy, żołnierz wojny obronnej 1939 r., mimo iż był przeciwny Powstaniu Warszawskiemu, wziął w nim udział, dowodząc grupą żołnierzy NSZ na Ochocie. 12 lutego 1948 r. reżimowe „Życie Warszawy" napisało: „Proces Kasznicy i innych [przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie] ukazuje równię pochyłą, po której żywioły ONR-owskie i endeckie spychała nienawiść do obozu postępu, spychał strach przed przebudową społeczną kraju". Na Rakowieckiej 12 maja 1948 r. w tył głowy strzelił mu Piotr Śmietański, kat Mokotowa.

13 dni później, w tej samej ubeckiej katowni, z rąk tego samego oprawcy zginie rtm. Witold Pilecki. Żołnierz wojny polsko-bolszewickiej, września 1939 r., dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, jedyny na świecie ochotnik do Auschwitz, w Powstaniu Warszawskim walczył – wobec braku zgody dowództwa – jako zwykły strzelec w kompanii NSZ „Warszawianka", później dowodził oddziałem w Zgrupowaniu Chrobry II. Reduty Witolda przy Placu Starynkiewicza Niemcy nigdy nie zdobyli.

Z rtm. Pileckim współpracował po wojnie Tadeusz Bejt. Dla ściganych przez komunistyczną bezpiekę oraz członków rodzin żołnierzy II Korpusu organizował drogi kurierskie i punkty przerzutowe na granicy polsko-niemieckiej. 9 października 1948 r. został porwany ze swego mieszkania w Berlinie, przewieziony do Warszawy i osadzony w więzieniu mokotowskim. Tu brutalni śledczy rozpoznali ślad przerzutu meldunków z Warszawy przez Szczecin. Tak trafili na działalność mojego Ojca – Tadeusza Płużańskiego.

Bejt został skazany na karę śmierci przez Józefa Badeckiego – tego samego, który współskazywał Pileckiego i jego wywiadowców. Bejt zginął zamordowany strzałem w tył głowy 11 lutego 1949 r. przez kolejnego kata Mokotowa – Aleksandra Dreja. W Powstaniu walczył w zgrupowaniu „Radosław" (batalion „Czata 49").

eprasa.pl 8bb7115c0b

WSPOMNIENIE

Zmarł Witold Chodakiewicz

Fot. arch. IPN

Zmarł Witold Chodakiewicz, zasłużony działacz opozycji demokratycznej lat 70. oraz NSZZ „Solidarność", internowany w stanie wojennym, wieloletni urzędnik państwowy oraz zasłużony inżynier i ekspert w dziedzinie transportu i budownictwa.

Witold Janusz Chodakiewicz urodził się 21 września 1937 roku w Wilnie. Ukończył Wydział Budownictwa Wodnego Politechniki Gdańskiej.

Kariera zawodowa

Karierę zawodową rozpoczął jako stażysta w Hydrobudowie w Gdańsku (1960–1962). Następnie, w latach 1963–1971, kierował pracownią w Zakładzie Badań i Doświadczeń Budownictwa Wodnego w Warszawie. W 1963 roku odbył również stypendium w Holandii w ramach programu International Association for the Exchange of Students for Technical Experience (IAESTE). W latach 1971–1977 pracował jako specjalista w Zakładzie Badań i Doświadczeń Budownictwa Kolejowego w Warszawie, a w latach 1977–1982 kierował Centralnym Laboratorium Budownictwa Kolejowego Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych nr 7 w Warszawie. W 1985 roku uczestniczył w Programie Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju w Wielkiej Brytanii, a rok później w Republice Federalnej Niemiec.

W opozycji

W latach 1977–1980 współpracował z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR". Angażował się w pomoc osobom represjonowanym, zbierał fundusze, drukował „Komunikat" KSS „KOR" oraz zajmował się jego kolportażem.

Po powstaniu Solidarności odegrał znaczącą rolę w organizowaniu struktur związkowych w branży budownictwa kolejowego. Od 16 września do 27 października 1980 roku pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Redakcyjnej Protokołu Uzgodnień Branżowych, wynegocjowanego przez przedstawicieli załóg Przedsiębiorstw Budownictwa Kolejowego i Przedsiębiorstw Robót Kolejowych z ministrem komunikacji podczas rozmów w Morzyczynie i Międzyzdrojach. W 1981 roku został wiceprzewodniczącym Stałej Komisji nadzorującej realizację tych uzgodnień. Od 14 października 1980 roku był członkiem Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność" w PRK 7.

W 1981 roku uczestniczył jako delegat w I i II Walnym Zebraniu Delegatów Regionu Mazowsze oraz w I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „S". Był także redaktorem pisma „Solidarność PBK/PRK" oraz przewodniczącym Rady Pracowniczej PRK 7.

Represjonowany

13 grudnia 1981 roku został internowany i osadzony w Ośrodku Odosobnienia Warszawa-Białołęka. Zwolniono go 12 czerwca 1982 roku. Już od sierpnia 1982 roku kierował Tymczasową Komisją

eprasa.pl 8bb7115c0b

Wykonawczą Solidarności PBK/PRK oraz koordynował Fundusz Pomocy dla osób więzionych. We wrześniu 1982 roku został zwolniony z pracy z przyczyn politycznych.

W latach 1982–1990 pracował jako adiunkt w Instytucie Badawczym Dróg i Mostów w Warszawie. W tym samym okresie aktywnie działał w podziemnych strukturach Solidarności. W latach 1982–1989 zajmował się kolportażem wydawnictw niezależnych, a od 1983 do 1990 roku był redaktorem „Solidarności Podziemnej PBK/PRK". Od 1984 roku współorganizował dystrybucję od 500 do 750 egzemplarzy „Tygodnika Mazowsze" do struktur PBK/PRK w Warszawie, Poznaniu i Krakowie, stopniowo rozszerzając sieć kolportażu na kolejne miasta.

Po przemianach

Po przemianach ustrojowych nadal angażował się zarówno w działalność publiczną, jak i związkową. W 1989 roku został delegatem na III Walne Zebranie Delegatów Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność", a do lipca 1990 roku był członkiem Zarządu Regionu. W kwietniu 1990 roku uczestniczył jako delegat w II Krajowym Zjeździe Delegatów.

W latach 1990–1993 oraz 1998–2001 pełnił funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Transportu i Gospodarki Morskiej. W okresie od grudnia 1990 do maja 1992 roku kierował zespołem rządowym, który wynegocjował warunki wycofania z Polski oraz tranzytu przez Polskę jednostek Armii Radzieckiej stacjonujących w Niemczech.

Od 1989 do 1999 roku był członkiem Fundacji Wspierającej Oświatę Polską za Granicą „Samostanowienie", a w latach 1999–2007 przewodniczył jej Radzie Nadzorczej. Na początku 2004 został mianowany przez prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego pełnomocnikiem ds. budowy Mostu Północnego w Warszawie, natomiast w latach 2003–2005 przewodniczył Radzie Nadzorczej Metra Warszawskiego. We wrześniu 2007 roku przeszedł na emeryturę.

Jest autorem około trzydziestu publikacji i referatów poświęconych problematyce transportu oraz technologii budownictwa.

Za swoją działalność naukową i zawodową otrzymał liczne wyróżnienia, w tym zespołową Nagrodę Przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki (1969), Nagrodę Ministra Budownictwa (1974) oraz Nagrodę I stopnia Ministra Komunikacji (1984). Został również odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006) oraz odznaką „Zasłużony Działacz Kultury" (1999).

W imieniu członków redakcji „TS" i Tysol.pl
oraz pracowników Fundacji Promocji Solidarności składam

prof. Markowi Janowi Chodakiewiczowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

Pokój Jego duszy.

Michał Ossowski, prezes Fundacji Promocji Solidarności

eprasa.pl 8bb7115c0b

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

POGRZEB Zdzisława Maszkiewicza

Fot. M. Żegliński

W kościele pw. Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Pionkach pożegnano 30 lipca Zdzisława Maszkiewicza. Na pogrzebie senatora IV kadencji z listy Akcji Wyborczej „Solidarność” i ponad 30-letniego przewodniczącego radomskiej Solidarności obecni byli członkowie rodziny, współpracownicy, przedstawiciele władz państwowych i samorządowcy oraz członkowie NSZZ „S” wraz z przewodniczącym Piotrem Dudą.

Mszy Świętej koncelebrowanej przewodniczył biskup senior Henryk Tomasik, a wartę honorową przy grobie zmarłego pełnili żołnierze WOT, strażacy oraz rycerze św. Jana Pawła II.

– Są takie chwile w naszym życiu, kiedy na próżno staramy się szukać słów, które byłyby w stanie wypełnić pustkę i ból po stracie bliskiego. Mimo że wiemy, iż śmierć wpisana jest w nasze życie i towarzyszy nam przez całe życie, nie jesteśmy w stanie pogodzić się z utratą bliskiego. Zadajemy sobie pytanie, dlaczego to Ty, Zdzisławie? Dlaczego teraz? Przecież tak jeszcze wiele miałeś do zrobienia. Przecież potrzebuje Cię jeszcze rodzina. Ale widocznie Pan Bóg miał wobec Ciebie inne plany – powiedział po zakończeniu Eucharystii przewodniczący Solidarności Piotr Duda.

Śp. Zdzisław Maszkiewicz odszedł do wieczności 26 lipca w wieku 75 lat. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Pionkach.

ZWIĄZKOWIEC PRZYWRÓCONY DO PRACY

Zwolniony w lipcu zeszłego roku wiceprzewodniczący Solidarności w Haldexie Marek Sikora może wrócić do pracy. Po upływie roku, 30 lipca 2026 roku, Sąd Rejonowy Katowice-Zachód w Katowicach przywrócił związkowca do pracy. Pracodawca wypowiedział mężczyźnie umowę o pracę, zarzucając mu rzekome naruszenie obowiązków pracowniczych, a o zamiarze zwolnienia działacza nie poinformował organizacji związkowej. Teraz Marek Sikora otrzyma wynagrodzenie za czas, kiedy pozostawał bez pracy.

– Sędzia podkreśliła, że nie było merytorycznych przesłanek do zwolnienia pracownika i podważyła powody rozwiązania stosunku pracy wskazane przez pracodawcę. Jak dodała, powody zwolnienia muszą być rzetelne i prawdziwe, a w tym wypadku takie nie były – skomentował radca prawny Śląsko-Dąbrowskiej „S” Paweł Szczepańczyk.

18. PARADA MOTOCYKLOWA SOLIDARNOŚCI

Wielkopolska Solidarność zaprasza do udziału w 18. Paradzie Motocyklowej Solidarności.

Fani jednośladów przejadą ulicami Poznania 29 sierpnia, by wspólnie uczcić Dzień Solidarności i Wolności. Motocykliści odpalą silniki o godzinie 15.00 w Parku Jana Pawła II w Poznaniu na Łęgach Dębiń-

eprasa.pl 8bb7115c0b

Fot. Reg. Śląsko-Dąbrowski NSZZ „S”

„W ciągu dwóch miesięcy «zniknęło» nam 10–15 proc. załogi. Czy tak się da funkcjonować? Oczywiście nie. Domagamy się uzupełnienia stanu osobowego załogi w jakikolwiek sposób”.

Piotr Ryba, wiceszef „S” w KWK „Knurów-Szczygłowice” Ruch „Knurów”, www.solidarnoscgornicza.org.pl, 5 sierpnia br.

skich, skąd wyruszą w kierunku Strzeszynka. Tam w Scout Camp Poznań czekać będą na uczestników imprezy „wyżerka i napoje”.

Działacze „S” zachęcają także, aby dwa dni później, 31 sierpnia, wziąć udział we Mszy Świętej, która zostanie odprawiona o godzinie 12.00 w poznańskim Kościele oo. Dominikanów. Nieco ponad godzinę później przy Pomniku Poznańskiego Czerwca 1956 odbędą się tego dnia uroczystości upamiętniające podpisanie Porozumień Sierpniowych.

SIERPIEŃ MIESIĄCEM HONOROWEGO KRWIODAWSTWA

Rzeszowska Solidarność już po raz 21. zaprasza do udziału w akcji charytatywnej „Sierpień miesiącem honorowego krwiodawstwa”. Krew można oddawać od poniedziałku do piątku przez cały miesiąc w trzech lokalizacjach: Rzeszów – siedziba RCKiK, ul. Wierzbowa 14, Leżajsk – oddział RCKiK, ul. Leśna 22 (szpital powiatowy), Mielec – oddział RCKiK, ul. Żeromskiego 17.

Akcji towarzyszą słowa św. Jana Pawła II: „Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest, nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”.

W zeszłorocznej edycji wydarzenia wzięły udział aż 1223 osoby. Łącznie zebrano wtedy 550,35 litrów krwi.

Związkowcy zachęcają, by poinformować punkt poboru, że oddaje się krew w ramach akcji NSZZ „Solidarność” – wtedy można liczyć na upominek.

„Pamiętaj – twoja krew nie ma ceny, ale dla potrzebującego może być bezcenna. Nie czekaj. Otwórz serce. Zrób coś naprawdę ważnego. Oddaj krew. Podziel się życiem. Zostań bohaterem. Niech tegoroczny sierpień znów będzie miesiącem prawdziwej solidarności” – zachęca rzeszowska Solidarność, która organizuje akcję we współpracy z Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Rzeszowie.

BRAK RĄK DO PRACY W KOPALNI „KNURÓW”?

W połowie lipca wszystkie związki zawodowe działające w KWK „Knurów-Szczygłowice” wysłały wspólne pismo do Zarządu Jastrzębskiej Spółki Węglowej, w którym zawnioskowały o pilne uzupełnienie stanu zatrudnienia na Ruchu „Knurów”.

„Kolejne odejścia na urlopy górnicze, jednorazowe odprawy pieniężne oraz emerytury powodują utratę najbardziej doświadczonej kadry i coraz bardziej dezorganizują pracę oddziałów. Obowiązki odchodzących pracowników są przenoszone na pozostałą załogę, która pracuje na granicy swoich możliwości” – podkreślili przedstawiciele pracowników.

Wiceprzewodniczący Solidarności w KWK „Knurów-Szczygłowice” Ruch „Knurów” zwrócił uwagę, że w ciągu dwóch miesięcy z kopalni „zniknęło” 10–15 proc. załogi.

„Jesteśmy kopalnią dwuścianową – te ściany muszą być «obłożone», musi być «obłożony» cały proces technologiczny. Ubytek 100, 200 czy 300 pracowników poważnie zagraża bezpieczeństwu pracy pozostałych górników. Trzeba bić na alarm. To jest nasz obowiązek” – podkreślił przewodniczący Piotr Ryba w rozmowie opublikowanej na stronie Górniczej Solidarności.

M.K.

Kalendarium Solidarności

14.08.1980 – rozpoczyna się strajk w Stoczni Gdańskiej. Poza podwyżkami jego uczestnicy domagają się m.in. przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz oraz Lecha Wałęsy, budowy pomnika upamiętniającego ofiary Grudnia ’70 czy zapewnienia bezpieczeństwa strajkującym;

17.08.1980 – Międzyzakładowy Komitet Strajkowy redaguje 21 postulatów strajkujących zakładów, zostają one zapisane na tablicach ze sklejki.

eprasa.pl 8bb7115c0b

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Panie Tomku, przed nami Święto Wojska Polskiego. Pan często uczestniczy w obchodach, defiladach, które odbywają się 15 sierpnia w Warszawie, i je dokumentuje.

Tomek: – Tak, dzięki temu mam w swoich zasobach wiele zdjęć obecnych tam formacji wojskowych oraz sprzętu, którym dysponuje nasza armia.

– Dziś jednak zdjęcie, które odwołuje się do historii wojska...

– Polska husaria. To ona zwyciężała m.in. w bitwach pod Kircholmem, Kłuszynem, Chocimiem, a przede wszystkim pod Wiedniem. Tam zresztą wśród husarzy walczył także mój pochodzący ze Szkocji praprzodek.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 8bb7115c0b

PRAWO

Komornik sprzedał moje mieszkanie, CZY TO NAPRAWDĘ KONIEC?

Komornik sprzedał moje mieszkanie w drodze licytacji. Mam ponad 80 lat i dowiedziałam się telefonicznie, że wyłoniono nabywcę. Czy mogę jeszcze **coś zrobić**? Ile czasu pozostanie mi na opuszczenie lokalu i czy grozi mi natychmiastowa eksmisja?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Sprzedaż nieruchomości na licytacji nie oznacza, że właściciel z dnia na dzień traci dach nad głową. Postępowanie egzekucyjne składa się z kilku etapów, a zakończenie licytacji jest jedynie jednym z nich. Po licytacji sąd wydaje postanowienie o przybiciu, a następnie, po zapłacie ceny przez nabywcę, postanowienie o przysądzeniu własności (art. 987 i nast. oraz art. 998 i nast. Kodeksu postępowania cywilnego). Dopiero prawomocne przysądzenie własności powoduje przejście prawa własności na nabywcę. Czy można zatrzymać ten proces? Tak, ale wyłącznie wtedy, gdy istnieją ku temu podstawy prawne. Środki zaskarżenia nie służą przedłużaniu postępowania, lecz eliminowaniu rzeczywistych uchybień. Mogą one dotyczyć m.in. naruszenia przepisów regulujących przebieg licytacji, wadliwego zawiadomienia uczestników czy innych nieprawidłowości, które mogły mieć wpływ na wynik postępowania. Sam fakt utraty mieszkania lub chęć spłaty długu po zakończeniu licytacji co do zasady nie stanowią podstawy do uchylenia jej skutków. W praktyce osoby zadłużone często popełniają dwa błędy. Pierwszy polega na przekonaniu, że po licytacji nie da się już nic zrobić i nie warto odbierać korespondencji z sądu. Drugi, przeciwnie, na składaniu wszystkich możliwych środków zaskarżenia bez rzeczywistych podstaw. Żadne z tych rozwiązań nie jest korzystne. Każde pismo z sądu należy dokładnie przeczytać, ponieważ od daty doręczenia często biegną krótkie terminy procesowe, których przekroczenia nie da się później naprawić. Równie ważne jest to, że nawet prawomocne przysądzenie własności nie oznacza obowiązku natychmiastowego opuszczenia lokalu. Jeżeli były właściciel nie wyprowadzi się dobrowolnie, nowy właściciel musi podjąć dalsze działania zmierzające do wydania nieruchomości. Dopiero w dalszej kolejności może dojść do postępowania egzekucyjnego dotyczącego opróżnienia lokalu. W praktyce oznacza to, że od dnia licytacji do ewentualnej eksmisji zazwyczaj upływa jeszcze kilka miesięcy, a niekiedy znacznie dłużej. Każda sprawa ma jednak własną dynamikę i nie sposób wskazać jednego uniwersalnego terminu. Osoby starsze lub znajdujące się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej powinny pamiętać o jeszcze jednej kwestii. W postępowaniu dotyczącym opróżnienia lokalu sąd bada, czy zachodzą przesłanki do przyznania prawa do zawarcia umowy najmu socjalnego lokalu na podstawie przepisów ustawy z 21 czerwca 2001 r. o ochronie praw lokatorów. Jeżeli sąd przyzna takie uprawnienie, wykonanie eksmisji co do zasady nie będzie mogło nastąpić przed przedstawieniem przez gminę odpowiedniego lokalu. Sam podeszły wiek nie przesądza jeszcze o przyznaniu tego prawa, ale z pewnością jest jedną z okoliczności podlegających ocenie.

Najważniejsze to nie ignorować korespondencji z sądu i komornika. Po zakończeniu licytacji nie wszystkie możliwości procesowe są jeszcze zamknięte, ale czas na ich wykorzystanie jest krótki, a skuteczne działanie wymaga oceny konkretnych okoliczności sprawy, a nie składania środków zaskarżenia „na wszelki wypadek”.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 8bb7115c0b

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Naturalność..., s. 52), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Marcin Krzeszowiec (Meble..., s. 26), pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2021 roku. Aktualny gospodarz naszej rubryki „Co w związku".

Tadeusz Płużański (Powstańcy..., s. 67), historyk, popularyzator wiedzy o polskim podziemiu niepodległościowym. Wydał „Obławę na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych" (Replika, 2017). Dla nas pisze od roku 2020.

Patryk Stanik (Błąd..., s. 64), specjalista od marketingu internetowego, nowych mediów oraz tematyki religijnej, przez lata związany z „Tygodnikiem Powszechnym", od 2025 r. pisze dla nas.

Tomasz Winiarski (Amerykański..., s. 40), dziennikarz od spraw amerykańskich, korespondent telewizyjny i radiowy. Współprowadzący kanał „(Nie)Poprawny Dyplomata".

Agnieszka Żurek (Z nieskończoną..., s. 6), z „Tygodnikiem Solidarność" związana od roku 2013. Jej najnowsza książka to pełna czarnego humoru powieść „Łowcy jeleni" o perypetiach młodej ideowej kobiety pracującej za czasów „dobrej zmiany" w jednej z instytucji państwowych.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 8bb7115c0b

KLIMATY STOCZNIOWE

HISTORYCZNA

SALA BHP

I STOCZNIA GDAŃSKA

Fundacja Promocji Solidarności

NSZZ Solidarność

WYCIECZKI

Z PRZEWODNIKIEM

WWW.SALABHP.PL/REZERWACJE

eprasa.pl 8bb7115c0b

eprasa.pl 8bb7115c0b